

PRZEŻYLIŚMY GROSS-ROSEN

Tom I - Obóz Gross-Rosen

**Zeszyt 6 - o rewirach i inne
wspomnienia**

Na prawach rękopisu

**Związek Bojowników o Wolność i Demokrację
Dzielnica Warszawa-Śródmieście - Koło Nr 1
ul. Wiejska 11. 00-480 Warszawa tel.296943
Komisja Historyczna Środowiska Gross-Rosen**

Warszawa 1988

Zespół Redakcyjny:

Zofia Doboszyńska, Halina Duchowa, Witold Kulisiewicz - Kierownik
Zespołu Redakcji, Mieczysław Mołdawa, Roman Olszyna, Zdzisław Raż, Andrzej Romanow, Feliks Sikora, Henryk Uchman - sekretarz Redakcji, Kazimierz Zamojski



przy współpracy:

Tadeusza Berny /Wrocław/, Michała Czebłakowa, Romana Gierki /Oborniki/, Jadwigi Gromackiej, Romana Konarzewskiego /Poznań/, Stanisława Korby /Kielce/, Jana Kosińskiego i Mieczysława Kwietnia /Lublin/, Edmunda Nawra /Bydgoszcz/, Stanisławy Nowak-Kożuchowskiej, Henryka Króla /Jelenia Góra/, Marii Więckowskiej-Malec, Janusza Marczyńskiego, Zbigniewa Mazurka /Wrocław/, Zygmunta Mikołajczyka - prezesa Klubu Gross-Rosen, Alojzego Nowickiego /Inowrocław/, Tadeusza Piorkowskiego, Bogdana Wierzejewskiego, Leszka Wolińskiego /Ząbkowice Śl./, Julii Wroczyńskiej

Projekt okładki: Włodzimierz Kern

Kolejny 21 Zeszyt "Przeżyliśmy Gross-Rosen" zawiera wspomnienia więźniów o rewirach obozie głównym Gross-Rosen, gdyż o rewirach w filiach obozu publikujemy wspomnienia w Tomie II naszego wydawnictwa

Każda prawie relacja byłego więźnia obozu, który miał szczęście przeżyć pobyt na rewirze w Gross-Rosen wyraża osobisty pogląd autora wspomnień. W zeszycie 6 I Tomu, który przedkładamy czytelnikowi zamieszczamy tylko 7 relacji wspomnieniowych o rewirach, a wśród nich lekarzy - więźniów tam pracujących: Stanisława Konopki, Walentego Popka i Mieczysława Michałowicza - choć jego wspomnienie poświęcone jest wybitnemu uczonemu Marcelemu Handelsmanowi.

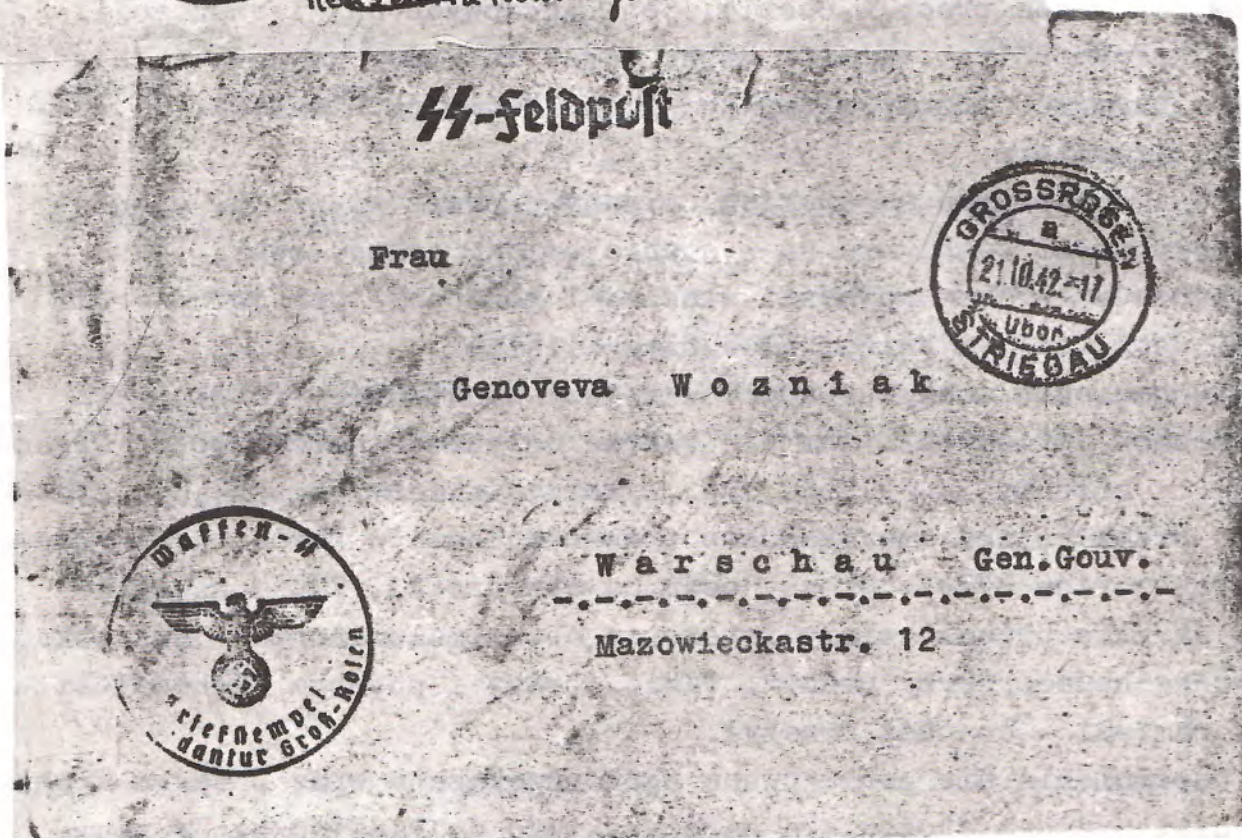
Zeszyt ten jest przedostatnim zeszytem poświęconym wspomnieniom z obozu Gross-Rosen i dlatego zamieściliśmy wspomnienia kolegów dotyczące pracy w obozie, jego końcowych dni i ewakuacji.

O każdym z tych tematów można pisać rozprawy naukowe i książki wielotomowe, pozostawiamy to jednak badaczom historii, naukowcom i literatom.

Te 12 wspomnień autorskich, pisanych przez więźniów, a choćby ich było nawet setki nie są w stanie opisać grozy, męki, lęku, poniżenia a zarazem godności własnej i godności tych co umierali o tym wspomina też ksiądz Władysław Klinicki.

Wspomnienia naszych współtowarzyszy ilustrujemy fotokopiami dokumentów jakie udało nam się zebrać dotyczące samego obozu Gross-Rosen na stronie 14, 51, 60, 76, wykorzystaliśmy też zdjęcia zrobione przez wojska amerykańskie prawdopodobnie w Dorze, gdzie wiele transportów było z Gross-Rosen na stronie 23, 79, a na ostatniej stronie przedstawiamy fotokopię obozu malowanego w 1941 roku w Sachsenhausen "Przy pracy". Takie obrazy i podobne zachował każdy w pamięci - co obóz przeżył.

Wspomnienia nie publikowane będą przekazane wraz z całym archiwum historycznym środowiska warszawskiego do Państwowego Muzeum Gross-Rosen w Rogoźnicy.



Te dwie koperty są dokumentem tragicznym jakich było wiele. Jan, Stefan Woźniak więzień Pawiaka, Auschwitz, a od czerwca 1942 więziony w Gross-Rosen nie doczekał listu od żony. Zmarł bowiem 15 października. List został zwrócony, a z Komendantury przysłano zawiadomienie o jego zgonie. A więc tylko 4 miesiące zdołał wytrwać w Gross-Rosen młody, 34 letni Jan Stefan Woźniak i podzielić los wielu kolegów tego transportu.

Nr archiwum Gross-Rosen 1.5.3.67.

REWIR W GROSS-ROSEN
/Fragment z pamiętnika/

Rewirem w obozach nazywano szpital dla więźniów. Nazwa dla nas obca i w niczym nie przypominająca ośrodka, którego celem powinno być leczenie. Rewir, to tylko odcinek tego błędnego koła, którego zadaniem było niszczenie fizyczne i psychiczne istoty ludzkiej.

Tak działało się w pierwszych latach wojny. W okresie końcowym, kiedy na rewirach pracowała większa liczba lekarzy Polaków, stosunki znacznie się poprawiły. Lekarz Polak wyteżał wszystkie swe siły, zabiegał o leki i strawę, improwizował, ratował chorego przed napaściami okupantów, bez względu na jego narodowość i wyznanie. Nie było to rzeczą łatwą; lekarz musiał często wchodzić w kolizję z zarządzeniami obozowymi, nawet w takich okolicznościach, gdy szło o kryteria, kogo należy przyjmować na rewir i o czas pobytu na rewirze.

W Gross-Rosen, podobnie jak innych obozach, chorych było bardzo dużo. Jako główną przyczynę tego stanu rzeczy należy wymienić niedostateczne pożywienie, pod względem ilościowym i jakościowym, w połączeniu z wyczerpaniem wskutek wysiłków fizycznych, następnie fatalne warunki higieniczne bytowania i pracy. Niepoślednią rolę odgrywały również czynniki psychiczne. Więzień, który nie umiał pogodzić się z losem, który nie przystosował się do twardego życia obozowego, innymi słowy, jeśli załamał się psychicznie, w bardzo krótkim czasie rozstawał się z tym światem.

Do najczęściej spotykanych schorzeń należały w Gross-Rosen: czyrączność, rozległe ropowice, wszelkiego rodzaju rany, oparzenia i otarcia. Przypadki świerzbii okresami były bardzo liczne. W każdym obozie panował nagminnie dur plamisty, który dość często w pierwszych latach wojny nie był rozpoznawany. Z powodu minimalnego dowozu białka, niemal co drugi więzień cierpiał na obrzęki nóg i podudzi. Tego rodzaju obrzęki głodowe miały często olbrzymie rozmiary. Powszechnym zjawiskiem były długotrwałe biegunki, które prowadziły do wyniszczenia ustroju i do zgonu. W okresie słotnym i w zimie nagminnie panowała grypa i liczne przypadki zapalenia płuc. Nie można się temu dziwić, gdyż całe okrycie więźnia składało się ze szmacianego ubrania i tego samego rodzaju płaszczyka.

W pierwszych latach wojny dostać się na rewir nie było łatwo, nawet obłożnie choremu. Ogólnie przyjętym miernikiem, otwierającym wrota do „raju rewirowego” była ciepłota ciała wyższa niż 39°; teoretycznie, gdyż według przepisów obozowych najwyżej 10% stanu liczbowego więźniów mogło przebywać na rewirze, a rzeczywiście potrzebujących leczenia mieliśmy 2 do 3 razy tyle.

Początkowo los chorego, który dostał się na rewir, nie był do pozazdroszczenia. Brak lekarzy, brak leków dawał się szybko odczuwać-nieludzki zaś personel pielęgniarski często dobijał chorego. Dlatego zdarzały się przypadki, że nawet obłożnie chorey wolał iść do pracy, podpierany przez kolegów, niż znosić szykany szefa rewirowego i jego personelu.

Najwyższą władzę sanitarną pełnił w każdym obozie niemiecki lekarz obozowy /Lagerarzt/, mający do pomocy pewną liczbę SS-manów z grupy służby zdrowia /SDG - Sanitats Dienst Gruppe/. Lekarz niemiecki zazwyczaj bardzo mało przejmował się swoją rolą, praca zaś niemieckiej służby sanitarnej polegała na odbieraniu apelu i konszachtach kulinarnych z szefem rewirowym /Revier Capo/, rekrutującym się spośród więźniów, a wyznaczonym na to stanowisko przez niemieckie władze obozowe.

W Gross-Rosen pełnili rolę niemieckiego lekarza obozowego kolejno dr Endres /od maja 1940 roku do grudnia 1941 roku/, który rzekomo był wychowankiem Uniwersytetu Poznańskiego, dr Schmits /od 15 do 30 grudnia 1941 roku/, dr Babor /od stycznia do czerwca 1942 roku/, dr Jobst /od czerwca 1942 roku do grudnia 1943 roku/, następnie dr Rindfleisch i dr Thilo.

W kwietniu 1944, kiedy nasz transport przybył do Gross-Rosen, niemieckim lekarzem obozowym był dr Schmiedt. Cała czynność polegała na "badaniu" nowo przybyłych transportów i na pięciominutowej inspekcji jednego z baraków rewirowych, co działo się zazwyczaj w odstępach 2 tygodniowych.

"Badanie" nowych więźniów odbywało się z wielkimi ceremoniami. Już na dwie godziny przed przybyciem lekarza przyprowadzano ich na rewir. Kazano się rozebrać do naga, najczęściej na otwartym powietrzu, bez względu na pogodę. Spędzano pielęgniarzy, którzy ołówkiem chemicznym malowali nowicjuszowi duże numery na piersiach, następnie w kolejności ustawiano ich czwórkami. Przegląd miał na celu ustalenie, zależnie od stanu zdrowia, do jakiego rodzaju pracy dany więzień się nadaje. Rozróżniano 3 kategorie, oznaczając je w przygotowanych spisach, cyfra I /bez zastrzeżeń/, II /z zastrzeżeniami/ i III /lekka praca/. Przydział kategorii odbywał się w błyskawicznym tempie i z odległości przynajmniej 3 metrów, jakby dla zadokumentowania, jaka przepaść społeczna leży między wyższą rasą, to jest "badającym" lekarzem, a niewolnikami. Po nadejściu lekarza niemieckiego Capo rewirowy w asyście lekarza naczelnego rewiru przedstawiał kolejno każdego więźnia od przodu i od tyłu. Za każdym razem pouczano więźniów, aby przypadkiem stojąc tyłem do lekarza, nie zginali się w pasie. Tego rodzaju zapomnienie będzie surowo karane. Lekarz niemiecki, otoczony żołnierzami służby sanitarnej, dyktował na poczekaniu, do jakiej kategorii należy przedstawić mu więźnia zaliczyć. Decyzja opierała się jedynie na ocenie sylwetki. Rzut oka zastępował w tym przypadku badanie lekarskie. W przeciągu godziny przewijało się w ten sposób od 300 do 400 więźniów, a czasami i więcej.

Podobny ceremoniał odbywał się również przy wyznaczaniu grupy więźniów na wyjazd do jakiejś wytwórni lub do innego obozu. Grupa taka miała być pełnowartościowa, gdy chodziło o zdolność do pracy. Badanie tej zdolności niczym się nie różniło od badania nowicjuszów obozowych. Jedyną rzeczą, która dyskwalifikowała do wyjazdu, były znacznego stopnia obrzęki nóg i wielkie

rany, gdyż to rzucało się w oczy i na odległość. Gorączka i wszelkie inne schorzenia nie odgrywały w tych przypadkach roli.

Po odejściu z obozu dra Schmiedta opiekunem naszym został dr Endress, później dr Rindfleisch, którego znaliśmy jeszcze z Majdanka. Na 3 miesiące przed likwidacją obozu objął stanowisko lekarza dr Thilo. Dwaj ostatni byli lekarzami już ze szkoły hitlerowskiej. Żaden z nich nie grzeszył większymi wiadomościami z medycyny. Często więc zaglądali na rewir i stawiali na oddziale chirurgicznym pierwsze kroki, mając do dyspozycji dużą liczbę królików doświadczalnych. Trzeba tu przyznać, że ochęć zdobywania wiedzy musiała być u nich duża, czerpali wiadomości od lekarzy Polaków, łamiąc w ten sposób surowe zakazy władz wyższych.

Rolę nauczyciela odgrywał głównie dr Tadeusz Kosibowicz, ginekolog z Będzina.

Za moich czasów podoficerem niemieckiej służby sanitarnej, najwyższy stopniem, był niejaki Dehnel /Hauptscharführer/. Dehnela interesował rewir tylko wtedy, kiedy miał otrzymać od Caporewirowego jakiś podarek, skradziony z magazynów obozowych, lub haracz w postaci żywności. Działo się to oczywiście kosztem więźniów, znajdujących się jako chorzy na rewirze. Dehnel wymagania w tym kierunku miał duże, tak że niemal co drugi dzień usłużny Capo wysyłał za nim wyładowaną walizę obuwem, częściami garderoby, lub napełnioną produktami spożywczymi. To było główne zajęcie hauptscharführera Dehnela, inne natomiast należało do więcej dyskretnych. Pełnił on mianowicie rolę kata obozowego. Kiedy przechodził wzdłuż rewiru, z dłońią zgiętą ku środkowi, każdy więzień już wiedział, że Dehnel trzyma w ręku strzykawkę, napełnioną fenolem. Tak uzbrojony maszerował poważnie do krematorium, gdzie czekały na niego ofiary. Było to tak zwane wykonywanie wyroków sądowych przez zastrzyknięcie skazanemu porcji fenolu. Śmierć po wstrzyknięciu następowała w przeciągu 2-3 minut.

Wyroki tego rodzaju były w Gross-Rosen bardzo częste. Zdarzały się dnie, że zastrzykami uśmiercano do 10 osób. Najwięcej ofiar dawały transporty, wysyłane do Gross-Rosen z Gestapo radomskiego.

Transport radomski, złożony z 200-300 osób, najczęściej w ciągu miesiąca topniał do jednej trzeciej. Poza tym duży odsetek więźniów przybyłych z każdym transportem miał bardzo rozległe ropowice, głównie w okolicach pośladków, następstwo egzekucji cielesnych w czasie badania. Głębokie rany podczas kilkudniowej podróży kolejną, nie opatrzone, ulegały zakażeniu, powodując dość często śmierć.

Trochę uwagi należy poświęcić gospodarzom rewirowym w Gross-Rosen. Zwierzchnikiem lekarzy - więźniów i personelu pielęgnarskiego był na rewirze tak zwany "Revier-Capo". Na to odpowiedzialne stanowisko wyznaczały władze niemieckie z reguły więźnia - Niemca.

Zwierzchnik taki rekrutował się w Gross-Rosen spośród przestępców lub zbrodniarzy i orzywiście o służbie sanitarnej nie miał najmniejszego pojęcia. Pierwszym Capo rewirowym był w Gross-Rosen Herman Losche, który ma na sumieniu bardzo wielu Rosjan. Następcą jego był Walter Richter, znany pod przezwiskiem Milone, później Alfred Stoll z Jeny i Gotlob Kaiser. W grudniu

1943 roku objął stanowisko Capo rewirowego Georg Prill, z zawodu złodziej i bandyta. Jedną z pierwszych osobowości, na którą zwróciliśmy uwagę po przybyciu do Gross-Rosen był właśnie Georg Prill. Gdy nas ustawiono na placu apelowym, zjawił się niespodziewanie jakiś jegomość, ubrany jak na stosunki obozowe bardzo elegancko, w nieskazitelnie biały i dobrze skrojony strój. Szczupły sprężysty, twarz chuda, pociągła, o odpychającym wyrazie, oczy małe świdrujące i przebiegłe, głos szorstki o barwie bardzo nieprzyjemnej. Pan Prill, jak się później okazało, był wielkim postrachem dla chorych. Przegląd chorych, zgłaszających się każdego dnia na rewir, należał do niego; odbywał się oczywiście w zupełnie swoisty sposób. Żywo stoi mi w pamięci grupa kilkunastu chorych, stłoczona przed wejściem do ambulatorium. Wypada z wrzaskiem Prill i laską gumową, zaczyna okładać na prawo i lewo, gdzie popadnie, oczekujących na badanie lekarskie. Zakołysała się cała grupa, kto mógł uciekał. Na pobojuwisku zostali tacy, którzy nie mogli się ruszać. Efekt został osiągnięty, zamiast kilkunastu chorych, dostało się do ambulatorium kilku, albo kilkunastu. Niedobitkami zajmował się już lekarz. Sceny takie, z pewnymi wariantami, odbywały się niemal codziennie.

Jaki cel miało tego rodzaju maltretowanie więźniów przez więźniów przez zwierzchnika rewiru, również więźnia. Było to dla Prilla pewnego rodzaju treningiem, nie wychodzeniem z wprawy. Poza tym jako Niemiec starał się przypodobać swoim przełożonym i pilnie przestrzegał, aby stan chorych na rewirze nie był za wysoki.

Prill pełnił swe obowiązki gorliwie do czasu, aż mu się noga powinęła. Dnia 20 maja został zamordowany w nocy były Capo rewirowy Gottlob Kaiser, pełniący obowiązki drugiego starszego obozowego /Lagerälteste II/.

Zwłoki znaleziono w basenie. Przyczyną śmierci była głęboka rana czaszki i wykrwawienie. Starszyzna obozowa, złożona z samych Niemców, momentalnie rzuciła podejrzenie, że Kaisera zamordowali Polacy. Strach padł na cały obóz. Zaczęły się dochodzenia i represje. Zebrano wszystkich więźniów na placu alarmowym. SS-mani szukali sprawców mordu. Po kilku godzinach niepokoju sprawa się wyjaśniła. Na miejscu przestępstwa znaleziono narzędzia zbrodni i po nitce do kłębka odszukano winowajców. Mord popełnili na tle osobistych porachunków trzech Niemcy: Lagerälteste Ebner, z urzędu kolega ofiary, Emil Ratke i Georg Hinc, za namową Georga Prilla. Odprowadzono ich zaraz do kompanii karnej, Ebner, po dwóch tygodniach zmarł rzekomo śmiercią naturalną, Ratke i Hinc zostali nieco później powieszani.

Chytry lis Georg Prill tak zręcznie lawirował i tak sprytnie odpowiadał w czasie przesłuchania, że mimo niezbitej winy, uniknął stryczka. Przebywał dłuższy czas na pokucie w kompanii karnej, aż w końcu, dzięki zasługom, jakie położył na rewirze przeniesiono go do innego obozu.

Następcą Prilla na rewirze był Rudolf Langer, powszechnie zwany Rudim, dobrze odżywiony, łakomy i bardzo zapobiegliwy, gdy chodziło o własne interesy. Miał zawsze bogato zaopatrzoną spiżarnię, dzięki konszachtom z kucharzami obozowymi. Nosił trójkąt różowy, z zawodu był więc przestępcą seksualnym. Langer nie okazał się takim srogim dla chorych. Bicie i rozpędzanie

zgłaszających się na rewir zdarzało się rzadziej, używał zresztą do tego celu tylko ręki. Ma za to inne grzechy na sumieniu. Trzymały się go stale głupie żarty, przedmiotem żartów byli najczęściej chorzy więźniowie. Lubił udzielać porad lekarskich, a kurację przeprowadzał w swoisty sposób. Przychodzi na rewir wynędzniały osobnik i skarży się na dreszcze i silny ból głowy. Pan Langer korzysta z nieobecności lekarza i rozpoczyna badanie, trzymając słuchawkę odwrotnym końcem. Następnie wpycha do gardła choremu 40 Istizin /środek przeczyszczający/ i radzi przyjść na-
zajutrz powtórnie. Chory zjawiał się rzeczywiście, twierdząc, że czuje się lepiej. A jak ze stolcem - normalnie.

Tego rodzaju przypadków mógłbym przytoczyć wiele. Kuracje pana Langer zachwiały zupełnie moją wiarę w dawki maksymalne. Przez dłuższy czas, poza prowadzeniem ambulatorium, zarządza-
łem apteką rewirową. Znając nawyczki Langer, strzegłem jak oka w głowie zapasów, jednak nie zawsze się to udawało. Zdarzały się historie, że Langer niejednokrotnie częstował swoich kompanów - z braku alkoholu, różnymi nalewkami, sporządzanymi na spirytusie. Wypijano w takich okazjach najczęściej Tinc. Vallerianae, Tinc. Digitalis i Tinc. Belladonnae. Dawka minimalna wynosiła 50 g - bez żadnych ujemnych skutków. Ktoś z niewiernych może przypuszczać, że nalewki nie były robione lege artis i dlatego nie działały szkodliwie. Otóż dostarczał je kolega aptekarz Polak, który prowadził składnicę sanitarną dla kilkudziesięciu obozów i ręczył za dobroć dostarczanych leków. Razu jednego skradł mi Langer 4 litrową butlę ze spirytusem denaturowanym. Aby ustrzec się od kradzieży, zabarwiłem go uprzednio błękitem metylowym, głosząc obecnym, że to są bardzo trujące związki miedzi. Chęć wypicia alkoholu była jednak silniejsza, aniżeli obawa przed zatruciem. W ciągu nocy w towarzystwie kilku towarzyszy Niemców, wypił Langer cały mój zapas spirytusu, również bez żadnych ujemnych skutków. Do kradzieży przyznał się po kilku tygodniach.

Poza występami w charakterze lekarza, Capo Langer ma gorsze grzechy na sumieniu: lubił chłopczyków. Ofiar jego namiętności trudno byłoby zliczyć. Nie wystarczało mu młodych chłopców, leżących na rewirze. Gdy przybył transport więźniów do obozu, od razu wyławiał nowe ofiary, obiecując nieświadomemu o co chodzi młodzińcowi, przyjęcie na rewir, bezpieczne schronienie i dobre odżywienie. Młodziwiec zgłaszał się na rewir, zostawał przyjęty, a potem zastraszony, nie umiając wybrnąć z sytuacji, padał ofiarą Langer. Trzeba tu przyznać, że jak długo ofiara Langerowi się nie nudziła dbał o swego pupilka, zaopatrywał go w dodatkową żywność, a nawet w garderobę.

Homoseksualizm, bardzo rozpowszechniony wśród Niemców, był jedną z plag obozowych w Gross-Rosen. Dla nas, przybyłych z Majdanka, rzecz ta była nowością. W Majdanku, mimo wszystko, mieliśmy polski klimat. Chociaż tam również znajdowało się sporo więźniów narodowości niemieckiej, dostosowali się oni do ogólnej atmosfery i o wypadkach homoseksualizmu w ogóle się nie słyszało. W Gross-Rosen była to nagminna choroba. Można śmiało zaryzykować twierdzenie, że Niemiec, nie obarczony tym zbroczeniem, należał do wyjątków.

Parę słów należy jeszcze poświęcić organizacji całego rewiru oraz ruchowi chorych. Za okres 1940 do 1943 roku nie mam do-

kładniejszych danych; byłyby to wiadomości z drugiej ręki i z tego powodu cały obraz wypadłby nie zupełnie wiernie. Muszę się ograniczyć do czasu od kwietnia 1944 roku do lutego 1945 roku, którego sam byłem świadkiem i współaktorem.

Rewir w Gross-Rosen składał się wówczas z pięciu baraków. W pierwszym baraku mieściło się ambulatorium, apteka, mieszkanie Capo oraz 3 nieduże pokoje, przeznaczone dla więźniów uprzywilejowanych. Były to raczej pokoje gościnne, w których wypoczywali zmęczeni życiem obozowym tak zwani promineneci, a zatem Niemcy, pełniący "odpowiedzialne" funkcje. Zgłaszali się tacy panowie na rewir przeważnie z urojonymi chorobami, byli życzliwie przyjmowani przez Capo-rewirowego; najchętniej udzielał on schronienia więźniom-kucharzom lub więźniom, pełniącym służbę w magazynach. Tego rodzaju pacjenci zazwyczaj opłacali się sownicie.

Drugi, trzeci i czwarty barak przeznaczono dla chorych wewnętrznych. Specjalnością trzeciego była biegunka. Oddział ten miał zawsze bardzo duży stan, gdyż przypadków biegunki nigdy nie brakowało. Chorzy na tym oddziale wiodli ciężki żywot, nie wydawano im żadnego pośłania, leżeli na gołych deskach, co było przyczyną licznych przypadków odleżyn. Piąty barak mieścił chorych zakaźnych oraz chorych na jaglicę, szósty - chorych chirurgicznych.

W kwietniu 1944 roku, kiedy przybyliśmy do Gross-Rosen, liczba chorych na rewirze wynosiła przeciętnie od 900 do 1100. Na taki stan było wszystkiego czterech lekarzy, którzy musieli nadzwyczaj ciężko pracować: na każdego z nich przypadało przeciętnie 250 do 300 chorych. Siłą rzeczy wiele czynności przekazywano w ręce pielęgniarzy, rekrutujących się przeważnie z ludzi, nie mających z tym zawodem nic wspólnego. Sytuacja znacznie się poprawiła z chwilą przydzielenia na rewir naszej grupy lekarzy, składającej się z 12 osób.

Z przeciętnego stanu chorych, leczonych na rewirze, nie można sobie wyrobić właściwego obrazu. Charakterystycznym momentem był bardzo duży dopływ, a jednocześnie duży ubytek chorych, głównie z powodu zgonu. Dziennie przyjmowano na rewir w miesiącach letnich przeciętnie 40 do 50 chorych, w jesieni i w zimie dwa razy tyle, a w nieco mniejszych granicach obracała się liczba zgonów.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności uratowała się księga zmarłych oddziału chirurgicznego, obejmująca niestety krótki okres czasu, bo od 20 kwietnia do 30 czerwca 1944 roku. Żniwo śmierci na oddziale chirurgicznym, mającym wówczas przeciętnie 180 do 210 chorych, było nadzwyczaj duże. Niech cyfry urzędowe mówią za siebie:

dnia 20 kwietnia 1944 roku zmarło 34 więźniów					
21	"	"	"	"	23
22	"	"	"	"	9
24	"	"	"	"	12
25	"	"	"	"	16
26	"	"	"	"	16
27	"	"	"	"	33
28	"	"	"	"	17
29	"	"	"	"	8
30	"	"	"	"	4
razem					172 więźniów

dnia 1	maja	1944	roku	zmarło	12	więźniów
2	"	"	"	"	16	"
3	"	"	"	"	30	"
4	"	"	"	"	9	"
5	"	"	"	"	16	"
6	"	"	"	"	7	"
8	"	"	"	"	25	"
9	"	"	"	"	8	"
10	"	"	"	"	23	"
11	"	"	"	"	26	"
12	"	"	"	"	14	"
13	"	"	"	"	11	"
15	"	"	"	"	13	"
16	"	"	"	"	23	"
17	"	"	"	"	15	"
18	"	"	"	"	8	"
19	"	"	"	"	32	"
20	"	"	"	"	21	"
22	"	"	"	"	14	"
23	"	"	"	"	15	"
24	"	"	"	"	12	"
25	"	"	"	"	20	"
26	"	"	"	"	30	"
27	"	"	"	"	10	"
29	"	"	"	"	15	"
30	"	"	"	"	19	"

razem 444 więźniów

Taki jest bilans śmierci tylko na jednym oddziale rewiru, kiedy ogólny stan chorych nie był wyższy od 1100 osób. Po usunięciu Capo-Prilla, który nie dopuszczał chorych na rewir, obłożenie łóżek stale się zwiększało i osiągnęło w miesiącach październiku, listopadzie i grudniu 1944 roku liczbę od 1800 do 2100. Przyczyną tego stanu rzeczy było również coraz większe wyniszczenie fizyczne więźniów, z powodu stale zmniejszających przydziałów żywności. Dopóki istniała łączność z krajem i nadchodziły paczki, trzymało to wielu przy życiu. Od września wszelki ruch pocztowy został przerwany, co w bardzo krótkim czasie odbiło się ujemnie na stanie zdrowia więźniów. Rozpoczął się okres wielkiego głodu, sprowadzając jeszcze większą śmiertelność.

Jeśli chodzi o paczki żywnościowe, nie należy pominąć milczeniem, że nawet w "sytych" okresie nikt z więźniów nie otrzymywał całej przesyłki. Pierwszy urzędowy haracz ściągali SS-mani przy wydawaniu paczek, zabierając bez pardonu najwartościowsze rzeczy. Drugą z kolei pijawką byli blokowi i Capowie, spoglądający łapczywym okiem na każdy kasek żywności. Następował drugi podział, a gdyby się tego nie zrobiło, przełożeni znaleźliby jeszcze sposób, aby uzyskać, ich zdaniem, słusznie należący się po-datek. Po prostu szykanowali więźnia na każdym kroku, nie prze-bierając w środkach.

Szczyt śmiertelności i najwyższą liczbę chorych osiągnął re-wir w drugiej połowie grudnia i w styczniu 1945 roku, kiedy to nadsyłano masowo więźniów z innych obozów, położonych na wschód

od Gross-Rosen. Wiele transportów był tak wycieńczonych marszem pieszym, że zasadniczo należało niemal wszystkich przyjmować na rewir. Stan ogólny obozu osiągnął przed ewakuacją cyfrę ponad 45.000.

W niedługim czasie okazało się, że i Gross-Rosen nie jest terenem bezpiecznym. W lutym rozpoczęła się ewakuacja na zachód. Znowu los zrzucił, że znalazłem się w ostatniej grupie więźniów, opuszczających Gross-Rosen. Było to dnia 9 lutego. Na miejscu pozostali jedynie najciężiej chorzy, w liczbie około 1200, pod opieką kilkunastu "prominentów" Niemców, których zadaniem było w odpowiednim momencie chorych tych "zlikwidować". O ile mi wiadomo nie mieli jednak czasu na wykonanie masowej zbrodni.

Nr archiwum 4.6.53

Tag	Krankheit	Verordnung
2. 11. 44.	Fingerring d. 4. 1. Fingers	Res. IV/1
2. 11. 44.	Endlasser von	Behandlung
3. 1. 45.	Herzmuskelschwäche	Abmagerung
		Behandlung

2. 11. 44.
PCR. H. H. H.

Karta chorobowa Edwarda Kęsikowskiego więźnia Nr 32640

Oryginał tej karty znajduje się w archiwum środowiska zarejestrowany pod numerem 1.5.2.2.

W REWIRZE OBOZU W GROSS-ROSEN

Sprawy obozu w Gross-Rosen, a między innymi - rewiru w tym obozie, opisało dość wiernie i trafnie już wielu autorów, o ile oczywiście da się opisać wiele z tego, co ludzie w takich obozach przeżywali i przecierpieli. Moje wspominki, uwagi i refleksje są krótkie, nie chcę bowiem powtarzać informacji znanych już skądinąd. Dodam tylko, że duży wkład w badanie tego obozu wnieśli zwłaszcza Roman Olszyna i autor monografii pt. "Obóz koncentracyjny Gross-Rosen" /Warszawa 1967/, Mieczysław Mołdawa. Cenne są książki Antoniego Gładysza "Powrót z piekła hitlerowskiego" /Tarnów 1945/ i "Obóz śmierci" /Łódź 1962/, a także liczne artykuły - relacje; spośród ich autorów w "Przeglądzie Lekarskim - Oświęcim" czytaliśmy wspomnienia Stanisława Dziadusia, Kazimierza Hałgasa, Stanisława Jagielskiego, Romana Niewiarowicza, Juliana Piórka, Romualda Sztaby, Józefa Żeglenia. Literatura na temat obozu w Gross-Rosen jest nie mała, wskazałem tutaj tylko na niektóre pozycje, z biegiem czasu bowiem często i łatwo zapomina się o wielu wartościowych i wstrząsających relacjach. W nich upamiętniono nazwiska uwięzionych więźniów, wśród nich lekarzy. Należałem także do lekarzy uwięzionych w tym obozie.

Do Gross-Rosen trafiłem 28 lipca 1944 roku z transportem kilkuset więźniów z Krakowa.

Podróż z Krakowa do Gross-Rosen odbyliśmy wtedy w wagonach zamkniętych mimo wielkiego upału. Toteż po przybyciu na miejsce prawie w każdym wagonie znajdowało się kilka trupów.

Jak każdy obóz koncentracyjny, tak i ten miał za zadanie wyniszczyć jak najwcześniej więźniów. Celowi temu służyły: ciasne i duszne pomieszczenia, w których stały drewniane prycze w trzech kondygnacjach. Na każdej, dość wąskiej pryczy leżało przeważnie dwóch więźniów; o odpoczynku po pracy nie mogło być mowy. Nędzne pożywienie, nie odpowiadające nawet minimum potrzebnych kalorii. Nadmierna praca w stosunku do sił, jakimi rozporządzali więźniowie.

Za najdrobniejsze rzekome przewinienie groziło katowanie i często przeniesienie do SK, tj. kompanii karnej, gdzie znęcał się nad więźniami wyspecjalizowany zbir. W SK czekała więźniów męcząca gimnastyka, praca w przyspieszonym tempie, a powrót z pracy - zawsze biegiem. Najmniejsze niezamierzone przewinienie czy niedociągnięcie powodowało katowanie, często kończące się śmiercią "winnego więźnia". Nierzadko przynoszono z pracy zwłoki zakatowanych. Nazywano to "wypadkiem w pracy". Wyjście z SK we względnie możliwym stanie należało do szczęśliwych przypadków.

Do rewiru w Gross-Rosen trafiłem jako lekarz po przejściu kwarantanny i pracy w osławionym tamtejszym kamieniołomie skąd

nosiliśmy kamienie na budowę nowych baraków. Rewir składał się z pięciu baraków.

Przydzielono mnie na oddział chirurgiczny. Spełniałem na tym bloku poza funkcją lekarza również czynności pomocnicze.

Po południu, w godzinach 16-20, jako specjalista laryngolog przyjmowałem w ambulatorium chorych laryngologicznie. Ten okres pracy fizycznej i lekarskiej był dla mnie najciężniejszy.

Na moje szczęście zachorował na ucho komendant obozu. Po wyleczeniu go sytuacja moja poprawiła się, ponieważ prócz żartobliwej nominacji na profesora przydzielono mnie do pokoju lekarzy i uwolniono mnie od obowiązku noszenia kotłów. Po południu miałem możliwość odwiedzać chorych leżących i leczyć ich na miejscu w barakach.

Zaopatrzenie rewiru w leki było niedostateczne, ale w narzędzia chirurgiczne całkiem możliwe, tak że chirurdzy mogli wykonywać nawet poważne operacje. Ja sam wykonałem antotremie /tj. zabiegi polegające na usunięciu zmienionych chorobowo części wyrostka sutkowego/, dwa razy, w tym jeden ropień /abces/ mózgu, jeden raz wyłuszczenie migdałów i jeden raz operację zatok czołowych.

Nadzór nad rewirem sprawował lekarz SS-man, który chorymi więźniami mało się zajmował. Do sali operacyjnej przychodził, gdy chciał dla wprawy wykonać jakąś operację. Nasz chirurg przygotowywał mu odpowiedniego chorego i lekarz ten dokonywał zabiegu przy asystcie i pod kierunkiem chirurga więźnia.

Do leczenia brakowało odpowiedniego odżywienia, a także leków było za mało, zwłaszcza takich, które by podtrzymywały siły organizmu wycieńczonych więźniów. Na szczęście wielu spośród więźniów otrzymywało paczki żywnościowe od rodzin i to niejednemu uratowało od zupełnego wyniszczenia.

W miarę zbliżania się frontu od wschodu władze obozowe zaczęły przygotowywać obóz do ewakuacji więźniów na zachód. Ewakuacja rewiru nastąpiła 10 lutego 1945 roku. Zostawiono tylko ciężko chorych, nie nadających się do marszu. O świcie około tysiąca więźniów wraz z lekarzami i pielęgniarkami ruszyło w stronę stacji kolejowej w Gross-Rosen, odległej mniej więcej o pięć kilometrów. Kto w czasie marszu okazał brak sił i zaczął ustawać, bezapelacyjnie ginął od kul esesmanów, którzy takich osłabionych bezlitośnie zabijali.

Na stacji w Gross-Rosen zakładowano nas do pociągu składającego się z lor na wapno i węgiel, oczywiście otwartych, by więcej więźniów mogło wyginąć od zimna. Transport nasz skierowano do Litomierzyc /Leitmeritz/ w Sudetach, dokąd przybyliśmy 14 lutego 1945 roku. Obóz w Litomierzycach był brudny, zawszony i zakażony tyfusem plamistym. Kto dotychczas nie chorował na tyfus, zachorował w Litomierzycach. Ciasno tam było, jak w innych obozach, coraz bardziej zagęszczanych przywożonymi transportami ewakuacyjnymi, ale więcej głodno niż w Gross-Rosen, gdyż ustało dochodzenie paczek żywnościowych od rodzin.

W Litomierzycach więźniowie pracowali w podziemnych fabrykach broni, źle przewietrzanych. Wygłodzeni, gęsto ginęli z wyczerpania. Niektórzy więźniowie z głodu jedli węgiel, a nawet ziemię, co się kończyło zwykle tragicznie. W dniu 8 maja 1945 roku władze obozu stwierdziwszy, że wojska wyzwolicieli otaczają obóz ze wszystkich stron, próbowali wyprowadzić więźniów z lagru. Funkcjonariusze obozowi ratowali się, jak kto mógł, przed dostaniem się w ręce sprawiedliwości.

Nr archiwum 4.6.54 .

WSPOMNIENIA KSIEDZA O REWIRACH
W GROSS- ROSEN

Czy warto żyć? Pytałem i ja w dniu 4 marca 1942 roku aresztowany w Wilnie i osadzony w więzieniu w Łukiszkach. Czy warto żyć? pytałem w dniu 7 lutego 1944 roku, kiedy po krótkiej i jasnej chwili zażywania wolności w Warszawie, znalazłem się znów na Pawiaku, jako jeden z wielu Polaków, który życiem swoim i cierpieniami objawiali miłość do Ojczyzny i wierność dla swego powołania. Jak dobrze Bóg uczynił zakrywając przed nami przyszłość, a dając wzamian za to wielką dozę ciekawości. Dzięki niej wzmacnia się także chęć do przeżycia, aby się przekonać, jak się wszystko skończy? Na łamach wielu pism dość często powtarzają się tematy zaczerpnięte z niemieckich obozów koncentracyjnych. Tym wszystkim publikacjom można byłoby dać tytuł: MARTYROLOGIA POLSKI. Drukują one bowiem coraz wierniej opisy męczeńskiej śmierci Polaków; przypominają krwawe dni prześladowań, zbiorowych egzekucji i cierpień tak strasznych, że trudno jest w nie uwierzyć temu, któremu los oszczędził podobnych.

Moje powtórne aresztowanie miało miejsce w następujących okolicznościach: Armia Krajowa dnia 1 lutego 1944 r. zlikwidowała na ulicach Warszawy krwawego dowódcę SS i Policji na Dystrykt Warszawski, generała Kutschere. Wzmogła się niemiecka czujność, rozlała po mieście falę nienawiści i pomnożyła represje wobec całego polskiego społeczeństwa. W miejscu, gdzie zginął Kutschera, następnego dnia zostało rozstrzelanych stu Polaków. W dniu, kiedy odbywał się pogrzeb Kutschery wszyscy mieszkańcy na trasie, którą miał przechodzić orszak żałobny otrzymali rozkaz opuszczenia swoich domów i pozostania w centrum miasta aż do wieczora. Dotyczyło to i nas mieszkających na Powiślu. Ja zabrałem ze sobą najmłodszą grupę naszych wychowanków-internistów i udałem się z nimi do mieszkania mego brata Stefana, który mieszkał wtedy na ulicy Chmielnej.

Następnego dnia zjawili się w naszym Zakładzie dwóch nieznanym panów, mówiących pięknie po polsku, którzy prosili księdza Dyrektora Jana Pykosz, aby ich oprowadził po domu i pokazał im szkołę, pracownię i kościół. Wydawało się nieco dziwne, że panowie ci najbardziej interesowali się nie naszą metodą wychowania młodzieży lecz wszystkimi drzwiami wychodzącymi na przyległe ulice: Lipową i Księdza Siemca. Coś sobie notowali, o czym między sobą po cichu rozmawiali i pytali o liczbę personelu zatrudnionego w naszym domu wychowawczym. Jak się po kilku dniach okazało, byli to przebrani gestapowcy wysokiej rangi.

Rano przed godziną piątą, dnia 7 lutego 1944 zbudził mnie wzmagaający się warkot motorów samochodowych. Niezliczone kolumny otoczyły ciasnym pierścieniem Zakład Księdza Siemca na Powiślu, ustawivszy się na wszystkich przyległych ulicach, to znaczy na Lipowej, Browarnej, Dobrej, Księdza Siemca i Gęsiej. Najazd ten

144/67



został dokonany przy pomocy uzbrojonych po zęby SS-manów, policji i oddziałów ukraińskich. Wśród gestapowców znajdowali się również owi dwaj panowie, którzy nas kilka dni temu odwiedzili, tym razem jednak już w swoich mundurach i oni to kierowali sprawnie całą akcją, znając dokładnie rozkład domu, wejścia do Zakładu i do Drukarni na ulicy Księdza Siemca, oraz biura, gdzie znajdowały się wszystkie dane personalne księży, profesorów i naszych wychowanków.

W kilku minutach drzwi główne zostały rozwalone pod uderzeniami kolb karabinowych, wszystkie światła pozaświecane i po wszystkich korytarzach rozlegał się odgłos twardych, prędkich kroków żołnierskich. Aresztowanych kolejno sprowadzano do największej sali i tu według książki meldunkowej, sprawdzano dane personalne i dokonywano rewizji osobistej. Kilku salezjanów brakowało. Zagrożono, że jeśli się nie znajdą, Dyrektor domu będzie natychmiast aresztowany. Do mego pokoju zapukał ksiądz Stanisław Janik; a że za nim stało dwóch uzbrojonych żołnierzy, nie potrzebowali mi wyjaśniać celu wizyty i nie prosili o zezwolenie do zrewidowania całego mego pokoju. Mnie także odstawiono do miejsca zbiórki. Następnie sprowadzono nas wszystkich na dziedziniec zakładowy, a było nas ponad 50 osób: księży, bracia zakonni, służba domowa, pracownicy i wychowankowie od lat szesnastu. Tutaj, Niemcy zapragnęli ubawić się kosztem naszego strachu. Upozorowali scenę rozstrzelania. Ustawili nas pod murem, kazali ścieśnić się i zwrócić twarzą do muru. Żołnierze podnieśli broń celując do nas, a ich komendant donośnym głosem zawołał: "trzy długie". Ktoś z żołnierzy zakpił, że trzy to za dużo. Myśleliśmy, że chodzi o trzy serie wystrzałów, więc gotowaliśmy się poważnie na śmierć. Ks. Józef Oleksy polecił nam odmówić krótki akt żalu i dał nam kapłańskie rozgrzeszenie. Ja modliłem się do Jezusa Miłosiernego, mówiąc: "Jezu ufam Tobie!" komendant liczył: raz...dwa... i cisza śmiertelna. Potem za naszymi plecami rozległ się szatański śmiech i rozkaz, aby znów odwrócić się twarzą do żołnierzy.

Dramatyczna scena zakończyła się wówczas przewiezieniem nas na Pawiak, gdzie zostaliśmy wpisani do kartoteki więziennej i rozmieszczeni w celach numer 207, 209, 210 i 211 na Oddziale VII. Po odbytej kwarantannie i po surowym przesłuchaniu każdego z nas w kaplicy więziennej zamienionej na kancelarię, przeniesieni zostaliśmy na Oddział V, z okien którego można było widzieć ruiny zburzonego Getta; stamtąd dochodziły do uszu naszych nieraz odgłosy wystrzałów. W takich chwilach dokonywanych egzekucji modliśmy się my, kapłani za konających, sami nie będąc pewni o swój los i życie.

Dnia 2 marca 1944, związani piątkami, aby utrudnić ucieczkę w drodze na stację, zostaliśmy wysłani do obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen koło Wrocławia. W transporcie tym było nas 550 osób. Niemcy wysyłając nas z Pawiaka, jako cechę charakterystyczną

transportu podali: "Księża, polska inteligencja, partyzanci i bandyci". Zgromadzeni w jednym baraku zostaliśmy oddani na pastwę pewnej grupy zawodowych bandytów, którzy z nieukrywanym zadowoleniem rzucili się na nas jak psy zjadłże, bijąc kijami

najbliższych stojących. Komendant obozu dowiedziawszy się, że w transporcie jest duża ilość księży, polecił, aby wszyscy oni stanęli przed nim. Stanęliśmy więc natychmiast w jednym szeregu. Z kolei komendant polecił, aby jeszcze bliżej

niego podeszli nasi przełożeni. Stał więc na odległość kroku od komendanta, ksiądz Jan Rzymek, przełożony Księża Misjonarzy z kościoła Świętego Krzyża w Warszawie i nasz ksiądz dyrektor Jan Pykosz, Salezjanin. Obaj zostali wobec wszystkich spoliczkowani, po czym Komendant do nas powiedział: Teraz ja jestem waszym przełożonym i bądźcie mi posłuszni. Następnie obu przełożonych skierował do ustępów, aby bez żadnych szmat wyczyścili brudne muszle ustępowe. Nie chodziło tu o pracę, bo ona nas nie poniża. W tym wypadku jednak chodziło komendantowi o poniżenie godności kapłańskiej i wylanie swojej nienawiści do religii katolickiej.

Pracując raz pewnego w kamieniołomach, zostałem przez osobnego gońca wezwany do biura, celem odnotowania mnie w kartotece i skierowania do komanda, które wyrabiało pustaki. Goniec, towarzysząc mi do biura w połowie drogi zatrzymał mnie i zapytał:

- Stary, czym ty byłeś na wolności?

- Tym samym, czym teraz jestem tutaj w kacie - odpowiedziałem mu spokojnie, za co posłaniec uderzył mnie w twarz i raz jeszcze postawił to samo pytanie. A że znów dałem mu tę samą odpowiedź twierdząc, że na wolności byłem tym samym, co i teraz wymierzył mi drugi mocniejszy policzek.

- Dlaczego mnie bijesz, kiedy ci mówię prawdę? - zapytałem go.

- Bo jesteś frechowny i zbywasz mnie głupią odpowiedzią - wyjaśnił goniec.

Ja ci mówię prawdę, bo i tutaj i na wolności jestem księdzem.

Zmieszał się nieco biedny goniec, bo może na dnie duszy zrobiło mu się niezbyt przyjemnie, że spoliczkował polskiego księdza więc po chwili dodał:

- Widzisz, nie dostałbyś po twarzy, gdybyś nie kłamał, mówiąc że jesteś tym czym dawniej. Dawniej miałeś sutannę, a teraz pasia-ki kacetowskie, dawniej miałeś parafię, a teraz nosisz kamienie w kacie.

- Ja i bez sutanny czuję się księdzem jak dawniej, bo i tutaj mogę jednych pocieszać, a drugich przed śmiercią rozgrzeszać. Nie było czasu na dalszą rozmowę. Stanęliśmy przed biurem. Goniec spełnił swoją misję. Ja też: pouczyłem i przebaczyłem.

Dostać się na rewir, czyli do szpitala obozowego, jedni uważali za szczęście, a inni za przedsięwzięcie do krematorium. Mimo wszystko chętnych nigdy nie brakowało, zwłaszcza kiedy choroba więcej dawała się we znaki. Kto po wieczornym apelu szedł na rewir, często wracał na blok niemiłosiernie pobity przez pewnego zwyrodnialca niemieckiego, obdarzonego we władzę kapo, którego chorzy bali się więcej aniżeli jakiegokolwiek zakaźnej nawet choroby. Takie twierdzenie uważałbym i ja za grubą przesadę, gdybym sam nie był świadkiem jego zwierzęcego postępowania wobec ludzi chorych, goniących resztkami swoich sił.

Piąty rewir był ze względów sanitarnych dodatkowo odgradzony od reszty obozu siecią gęstych drutów kolczastych. Przeznaczony był dla chorych na trachomę /egipskie zapalenie oczu/ i na gruźlicę. Można powiedzieć, że był to obóz koncentracyjny w obozie koncentracyjnym. Z chorymi tam znajdującymi się można było rozmawiać na odległość. SS-mani, w obawie zarażenia się pokazywali się tam bardzo rzadko. Kapo rewiru był tu panem życia i śmierci. On też decydował o przyjęciu na rewir, a samo to przyjęcie było dla chorych momentem nieprzyjemnym, poniżającym i ryzykownym, o czym sam się przekonałem pewnego dnia, realizując swój pomysł

wystąpienia w roli duszpasterza na piątym rewirze. Ponieważ opadałem z sił coraz więcej i liczyłem się z możliwością śmierci, postanowiłem resztki swoich sił przeznaczyć na niesienie pociechy religijnej i budzenia ufności pośród najbardziej opuszczonych i nieszczęśliwych, dogorywujących na oddziale chorób zakaźnych.

Dostanie się na rewir zawdzięczam młodemu studentowi medycyny, którego nazywaliśmy doktor Zbyszek. Gdy wszedłem na salę przyjęć ujrzałem tam mnóstwo chorych, których lekarze i sanitariusze kolejno badali, lecz co chwila pracę ich przerywał rewir-kapo, bijąc niemilosierdzie pacjentów i wypędzając ich za drzwi jako symulantów. Widziałem ze zgrozą jak podbiegł on w pewnym momencie do więźnia ślaniającego się na nogach i dlatego podtrzymywanego przez dwóch innych swoich kolegów; kilku uderzeniami nahałki i pięści zwałił go na ziemię i zaczął kopać. Chory na czworakach, instyktownie kierował się do wyjścia i słyszałem jak powtarzał: "Ja oczeń balnoi"/Ja jestem bardzo chory"/. Był to zatem jakiś biedny Rosjanin, który w taki sposób miał okazję poznać niemiecką kulturę, niestety ze strony jak najgorszej, w osobie zwyrodnialca obdarzonego nieograniczoną władzą.

Po takim wstępie przyszła kolej na mnie. Miałem chęć jak ów Rosjanin wycofać się i wrócić na swój blok, lecz niestety, było już za późno. W dali ujrzałem doktora Zbyszka. W momencie kiedy kapo bił następną już ofiarę i potrząsając pejczem mówił, że przy pomocy tego lekarstwa wyleczył na zawsze bardzo wielu i odesłał na odpoczynek do krematorium, ja podsunąłem się do doktora Zbyszka i szepnąłem: "Panie Zbyszku, ja jestem księdzem z Warszawy". W tym momencie podbiegł do nas kapo i zapytał lekarza: "A ten?" Doktor Zbyszek badając moje oczy zaczerwienione odpowiedział spokojnie: "Ten nadaje się na leczenie specjalnie do rewiru". - "Dobrze"- powiedział kapo i dołączył mnie do grupy chorych, podobnie jak ja zakwalifikowanych.

Leczenie specjalne miało się odbywać na oddziale chorób zakaźnych. Lekarze podejrzewając, że jestem chory na jaglicę stosowali środki jakie mieli do swojej dyspozycji. Ja pamiętam, że doktor Józef często mówił do pielęgniarza: "Tego weź na albucyt".

Albucyt były to jakieś pastylki, które musiałem łykać w ilości niesamowitej i po których użyciu ogarniało mnie ogromne osłabienie, serce biło coraz wolniej i ogarniał sen. Na kilka dni traciłem wszelką możliwość widzenia, odczuwałem ból głowy i zupełny brak apetytu. Jakiś litościwy młody Rosjanin, którego nazywali "Uzbek" przynosił mi kubełek wody. Ja mu oddawałem swój chleb, którego jeść nie mogłem, ale była to bardzo mała zapłata, a jego wyprawa do umywalni po wodę była ogromnie niebezpieczna, bo przykapanych, kapo surowo karał przez bicie i kopanie.

Z polepszeniem się stanu mojego zdrowia przypomniałem sobie cel mojego przeniknięcia na rewir i w ciągu całego pobytu miałem okazję do pogawędek z chorymi, w sercach których starałem się rozbudzić wiarę i ufność w Miłosierdzie Boże. "Uzbek", młody żołnierz rosyjski opowiedział mi w jaki sposób dostał się on do niewoli. Poruszaliśmy także tematy religijne. Do rozmów włączali się inni chorzy i przedstawiali swoje trudności i problemy życiowe.

Po apelu wieczornym, zachowując wszelkie środki przezorności, można było zajrzeć na salę chorych na gruźlicę, którzy niekończącym się dniem i nocą, głośnym kaszlem, dawali znać o swojej

obecności i chorobie: ci wyglądali śmierci jak wybawienia, lecz podobnie jak inni łudzili się, że jutrzejszy dzień będzie i dla nich dniem wolności. W nocy budził mnie jakiś głos obok mnie pełen wyrzutu: "Wstawaj, ty śpisz spokojnie, a tam ludzie umierają bez pociechy religijnej". W takiej chwili myślałem: Jakże szczęśliwi są kapłani żyjący na wolności, mogący w lepszych okolicznościach nieść konającemu jako pociechę nie tylko własne słowa i modlitwę, lecz także Oleje święte i Ciało Chrystusowe. Muszę dodać, że takie nocne odwiedzanie chorych na gruźlicę i na jaglicę praktykowali nie tylko księża, lecz także inni więźniowie, dla innych duszpasterskich celów. Wszyscy jednakowo narażali się na jak najgorsze podejrzenia. Sądzone, że wszyscy bez wyjątku zakradają się na salę chorych tylko po to, aby im ukraść chleb ukrywany pod poduszką, jakąś część garderoby, buty lub coś innego.

Straszna była nasza zimowa ewakuacja obozu z Gross-Rosen do Dory pod naporem sowieckiej ofensywy w roku 1945. W pierwszych dniach lutego wychodziliśmy w kierunku stacji kolejowej. Z dala dochodził huk artylerii. Tu i tam w rowach, po obu stronach szosy leżały trupy więźniów, jako ostrzeżenie dla nas przed próbą ucieczki. Ulice miasteczka Gross-Rosen były już puste. Ludność niemiecka została już ewakuowana. Nie tak jeszcze dawno kiedyśmy wychodzili z obozu, w roku ubiegłym, przed każdym domem stały gromadki małych dzieci, które patrząc na nas krzyczały z pogardą i oburzeniem: "Polnische Banditen, Juden" /polscy bandyci, żydzi/ i rzucały kamieniami. Dzisiaj, nikt się z nas nie wysmiewał. Nawet SS-mani nas eskortujący z bronią w ręku mieli miny posępne i niezadowolone, bo i nad ich głowami pojawiło się niebezpieczeństwo. Mróz lutowy przenikał do szpiku kości. Odkryte wagony towarowe przeznaczone do transportu węgla, pełne miazgi, zostały wypełnione przez więźniów i stosunkowo szybko ruszyliśmy w nieznane. Początkowo cieszyliśmy się jak dzieci, udając się na wycieczkę. Z każdym jednak dniem, optymizm przygasał, a sytuacja stawała się coraz bardziej rozpaczliwa. W każdym wagonie było wiele trupów. Nikt nas po drodze nie karmił. Wagon był trupiarnią, ustępem i mieszkaniem dla reszty jeszcze żyjącej. Dopiero po sześciu dniach znaleźliśmy się na boczniczy kolejowej obozu koncentracyjnego Dora, koło Nordhausen. Wyskakujący z wagonów więźniowie, byli tak wyczerpani, że nie mieli siły podnieść się z ziemi, na którą padali jak kłody drzewa. Podobnie stało się i ze mną. Ktoś mi dopomógł podnieść się z ziemi, budząc mnie jakby ze snu i zmuszając do działania resztki energii mego organizmu przez okrzyk: "Wstawaj!". Wchodzenie do obozu Dora przypominało dantejskie sceny: Chodzące trupy niosły trupy swoich współwięźniów, bo taki rozkaz otrzymali ewakuujący nas SS-mani: Dostarczyć do obozu żywych albo umarłych.

W Dorze dano nam nowe numery przy wypełnianiu nowego formularza ewidencyjnego. Ja otrzymałem numer 112481. Pisarz wypełniający moją kartotekę zapytał mnie: zawód? Odpowiedziałem: ksiądz katolicki, ze zgromadzenia salezjańskiego. Choć z daleka byłem, zauważyłem że pisarz napisał krótko: urzędnik. Zaproteutowałem i nie odszedłem od niego aż nie napisał słowa "ksiądz". Początkowo nie chciałem. Widząc jednak, że ja nie odchodzę, posłuchałem o co prosilem, ale jednocześnie zmieszał mnie z błotem, jak najgorszymi słowami, nazywając wariatem, który sam na siebie podpisuje wyrok śmierci.

- Chciałem dla ciebie, ty wariacie, zrobić dobrze. Ty nie wiesz gdzie jesteś. Ty nie wiesz co to jest Dora. Tutaj księża najpierwsi pójdą do krematorium.

- Jeśli umrę, to wolę żeby wiadano że umarł ksiądz a nie urzędnik.

- Idealista, bohater, męczennik - kpił ze mnie pisarz. Pręd-ko ci się odechce tego wszystkiego, jak zobaczysz tunele Dory.

I rzeczywiście wkrótce je zobaczyłem. W tunelach Dory ukryte były ogromne fabryki wyrabiające sławne niemieckie bomby V-1 i V-2. Stąd na specjalnych platformach kolejowych i dobrze zamaskowane, jak gdyby chodziło o przewóz siana, wysyłano je do Pünemunden. Praca w tunelach nie ustawała dniem i nocą. Ja pracowałem w Komando Zawatzki. Czyściłem papierem szmerglowym ogromne arkusze blachy z której usuwałem rdzę, po czym blacha szła na specjalne maszyny do szwejsowania. Jeszcze trudniejszą była praca przy wyładowywaniu transportów z materiałem na bocznicy kolejowej, bo zawsze stał nad więźniem kapo z pejcem albo z kijem i bił, przynaglać do pośpiechu. Łatwiejsza była praca gdyśmy zaczęli przetaczać ogromne maszyny z jednej sali do drugiej, ale i przy tej pracy bito niemiłosiernie bez żadnej przyczyny. Tutaj to pewnego dnia zbił mnie jakiś kapo, bandyta i bokser zawodowy, a skutki jego ciosów pozostały na całe dalsze życie. Klinika Goldberg w Nordhausen mogłaby określić fachowo uszkodzenie, którego doznałem i sposób jego leczenia przy pomocy specjalnych naświetlań /tiefe Bestrahlung/.

Dnia 19 marca, jako już zupełnie niezdolny do pracy w Dorze zostałem przewieziony do obozu Boelkekaserne w Nordhausen. Tutaj cały tydzień trzymano nas na cementowej podłodze, głodnych, chorych i zawszonych, często rozbierano do naga i polewano lodowatą wodą, podczas gdy nasze ubrania zabierane bywały do pieca dezynfekcyjnego. Zmarłych palono w krematorium Dory.

Zaświtał wreszcie i dla nas dzień wolności. Był to ranek, 4 kwietnia 1945 roku. W tym dniu lotnictwo amerykańskie dokonało straszliwego nalotu i na miasto Nordhausen zwaliło setki bomb burzących i zapalających, zamieniając niektóre dzielnice w kupę gruzów i morze ognia. Nasz obóz zmienił się w ogromne cmentarzysko.

Ja ocaliłem się wówczas, rzucając się na ziemię i w takiej pozycji pozostając przez cały czas bombardowania, modląc się i powtarzając: "Jezu, ufam Tobie!".

Ranni i konający obok mnie padając i zalewając mnie własną krwią otrzymywali ode mnie kapłańskie rozgrzeszenie, a ciała ich stanowiły pewną ochronę od gęsto padających odłamków bomb.

Kiedy grzmot bombowców ucichł, ja, nie czekając na nową falę nalotu, wykorzystałem czas na ucieczkę, nie tak trudną do wykonania, bo Niemcy już dawno albo poginęli, albo puciekali, a zaskieki z drutów okalające obóz, w wielu miejscach leżały na ziemi pokotem i łatwe były do przekroczenia. Obejrzałem się raz jeszcze i spojrzałem na nasz zbombardowany obóz. Całe podwórze zryte było ogromną ilością kraterów od bomb. Wszystkie budynki strasznie zniszczone i porozbijane, stropy porozwalane, na ziemi gdzie nie spojrzeć pełno trupów, a nieco dalej fala uciekinierów. To Niemcy w popłochu opuszczający miasto, a wśród nich ranni, albo szczęśliwym trafem zupełnie cali, więźniowie obozu koncentracyjnego w swoich pasiakach biało-niebieskich, na których tu i tam widać było ogromne plamy świeżej krwi. Tak i ja wyglądałem. Lu-

dzie obok mnie przechodzący patrzyli na mnie z lękiem albo ze współczuciem, myśląc, że jestem ogromnie poraniony. Ja jednak dzięki Jezusowi Miłosiernemu nie byłem zraniony. Była to krew moich najbliższych współwięźniów, najbliżej mnie leżących, którym przed śmiercią zdołałem dać rozgrzeszenie. Jeden z nich padając na mnie z rozbitą głową i oblewając swoją gorącą krwią, był dla mnie tarczą broniącą przed odłamkami bomb, jak to już wyżej o tym wspomniałem.

Uciekając poza miasto, szedłem nie drogą, lecz przez pola, bo na drogach ustawicznie ukazywały się kolumny cofających się wojsk niemieckich. Powoli dowlekłem się do miasteczka Leimbach i tu ukryłem się na cmentarzu, aby nieco wypocząć po silnie doświadczonych wrażeniach owego dnia pamiętnego.

W tej miejscowości także po kilku dniach zobaczyłem wkraczające pierwsze czołgi Armii Amerykańskiej. W Nordhausen byłem do dnia 20 czerwca 1945 roku. Kapelani amerykańscy przewieźli mnie do Kasel. W kilka dni potem objąłem placówkę duszpasterską w Hannoversch-Muenden, jako kapelan obozu dipisowskiego tamże założonego, w ramach Duszpasterstwa Polskiego, pod jurysdykcją Biskupa Polowego Wojsk Polskich Ks. Dr. Józefa Gawliny i jego Generalnego Wikariusza na teren niemiecki ks. prałata Edwarda Lubowieckiego.

Nr archiwum 4.6.74



"Ranni i konający obok mnie padając i zalewając mnie własną krwią. Otrzymywali ode mnie kapłańskie rozgrzeszenie, a ciała ich stanowiły pewną ochronę od gęsto padających odłamków bomb" Zdjęcie wykonano po wyzwoleniu więźniów przez wojska amerykańskie

Nr archiwum 1.5.1.18

REWIR

Znalazłem się znowu przed rewirem. Dzień był chłodny, pochmurny. W nocy musiał padać duży deszcz, bo wszędzie widać było kałuże. Przed rewirem stało chyba z dwustu chorych. Wszyscy trzęśli się z zimna, bo każdy miał gorączkę, każdy był poza tym obity, owrzodzony i opuchnięty. Po godzinie zjawił się kapo rewiru otoczony zgrają złodziei i morderców, aby dokonywać selekcji mniej i bardziej chorych oraz tych, których od razu kierowano do krematorium. Kazał się nam rozebrać do naga i iść do umywalni. Oblewa nas przejmująco zimna woda. Zemdlałem i nie wiem, co się dalej działo. Kiedy się ocknąłem, usłyszałem tylko jeden wielki jęk wydobywający się ostatkiem sił z piersi tych, którzy cierpieli na zapalenie płuc, na nerki, tyfus i ropne zapalenia. Wielu wynoszono noszami na platformę i kierowano do krematorium. Nie wiem, jakim cudem znalazłem się na pryczy. Było to wybawienie. Wybawienie od wyniszczającej mnie pracy w kamieniołomach, od dodatkowej pracy w kompanii karnej. A jednak dziś, kiedy o tym wszystkim myślę, ten rewir, w którym wróciłem do sił, bez wahania zaliczam do najstraszliwszych potworności obozu. Stanowił on jeden z najniższych kręgów obozowego piekła.

Rewir to nie to samo co szpital. Pełnił on wprawdzie również rolę szpitala, ale tylko w tym stopniu, w jakim leczenie mogło mieć sens wobec celów i warunków obozów koncentracyjnych. Aż do roku 1943 obozy miały za główne zadanie wytracanie skierowanych tam ludzi. Celem leczenia jest przywracanie sił i zdrowia, czyli że gdyby szpital obozowy miał być naprawdę szpitalem, byłoby to sprzeczne z założeniami obozowej maszyny. Było to zresztą niemożliwe i z innych względów szczególnie w pierwszych latach wojny. Wszystko bowiem, a więc i służba zdrowia, było podporządkowane celom postawionym przez Hitlera. Rewir więc był jednym z kółek obozowej maszyny, tym bardziej, że lekarz obozowy był oficerem SS, do pomocy miał esesmanów z esesmańskiej służby zdrowia, wychowanych w tym samym duchu co i reszta esesmanów. Podlegali im więźniowie promineneci, tacy sami jak ci, których znaliśmy z bloków, a niekiedy ci sami. I tak na przykład taki Georg Prill zajmował przez pewien czas stanowisko kapo rewiru, a więc był zwierzchnikiem wszystkich lekarzy - więźniów i całego personelu pielęgniarskiego. Po Prillu, złodzieju i bandycie, zrobiono kapem Rudolfa Langer'a, przestępcę seksualnego. Gotlon Kaiser, który przed Prillem sprawował tę funkcję, awansował latem 1943 roku na drugiego starszego obozowego, a więc wspiął się na same szczyty prominenckiej hierarchii obozowej. Przy takiej obsadzie rewir spełniał rolę szpitala jedynie w stosunku do więźniów prominentów, dla zwykłych więźniów był miejscem, gdzie wyprawiano ludzi w zaświaty. Działo się to tak długo, jak długo nie zjawili się na rewirze lekarze, którzy starali się leczyć wszystkich, bez względu na to, czy się to Niemcom podobало czy nie. Do takich lekarzy należeli dr Józef Żegleń, z Ma-

kowa Podhalańskiego oraz pewien lekarz radziecki, którego nazwiska niestety nie pamiętam, chociaż mam mu wiele do zawdzięczenia. Z czasem ilość takich więźniów-lekarzy się zwiększała, a w kwietniu 1944 roku jeszcze znacznie wzrosła dzięki przybyciu całej grupy polskich lekarzy z Majdanka, między innymi dr Mieczysława Michałowicza, dr Sztaby, dr Stanisława Konopki i dr Tadeusza Kosibowicza. Byli to ludzie dużej wiedzy i doświadczenia i choć jako więźniowie znaczyli mniej od prominentów, to jednak dzięki osobistemu autorytetowi potrafili, niekiedy nawet esesmańskich lagerältestów nakłonić do respektowania lekarskich obowiązków. Tak więc rewir leczył zwykłych więźniów nie dlatego, by tego chciały władze obozowe, ale na przekór tym władzom. A możliwości leczenia rosły, w miarę jak zbliżał się koniec wojny, zwiększał zamęt w Rzeszy i krzyżowały się sploty sprzecznych dążeń i rozkazów.

Byłem już tu przez trzy tygodnie w roku 1942, wkrótce po przybyciu do obozu, kiedy rewir był dla więźniów tylko "umieralnią". Zapadłem wtedy na biegunkę połączoną z bardzo wysoką gorączką i umieszczono mnie na jednym łóżku z nieprzytomnym, mającym Holendrem, który zmarł przy mnie o trzeciej nad ranem. Leżeliśmy na wąskim łóżku szpitalnym, nakryci jednym kocem. Sporo już wtedy przeżyłem, ale nie wyobrażałem sobie możliwości leżenia w jednym łóżku z trupem. Czekałem, kiedy się zrobi dzień. Skoro tylko ujrzałem sanitariusza, poprosiłem, aby zabrał zwłoki. Sanitariusz mnie zbił i powiedział, że zwłoki usunie dopiero wieczorem. Musiałem jeszcze przez cały dzień leżeć koło trupa, który zaczął cuchnąć. Nie mnie jednemu tak kazano. Chodziło przecież o to, aby za zmarłego pobrać porcję za dzień następny. Tylko to miało znaczenie dla rewirowego sanitariusza.

Nazwa "rewir" określała do pewnego nawet stopnia, czym owa instytucja miała być, a czym być nie miała. Nazwa nie miała przecież nic wspólnego z medycyną ani z lecznictwem. Przejęta została z łowiectwa. Rewir w obozie koncentracyjnym był rzeczywiście jakby terenem, z którego wyławiano zwierzynę do krematoryjnego pieca. Jak w leśnym rewirze odstrzela się co podlegsze kozły, tak w rewirze obozowym uśmiercano co słabszych więźniów, których w początkowym okresie rozstrzeliwano, a w późniejszym czasie unicestwiano zastrzykiem fenolu. Niezależnie od selekcji hulała tu śmierć mniej lub bardziej "naturalna". Ułatwiano jej polowanie. W baraku dla zakaźnie chorych kładziono obok chorego na tyfus chorego na jaglicę i dorzucano jeszcze chorego na czerwonkę. Ciężko chorych kładziono na prycze z gołych desek, aby się co prędzej nabawili odleżyn. Miał ów rewir być "zaraźalnią" i był. Miał być "umieralnią" i był nią także. Lecznicą pierwotnie nie był wcale, a jeśli później czasem się nią stawał, to tylko dzięki poświęceniu lekarzy-więźniów. W ciągu lat rewir mocno się rozrósł. W pierwszych latach bardzo trudno było się tam dostać. Nie tylko dlatego, że wolno było przyjmować jedynie więźniów z ciężkimi ranami lub z gorączką powyżej 39 stopni, ale dlatego również, że ilość przebywających na rewirze nie mogła przekraczać jednej dziesiątej wszystkich więźniów, przebywających w obozie. Ten warunek przekreślał wszelkie usiłowania, aby rewir stał się obozowym szpitalem. Tymczasem w obozie szerzyły się i takie choroby jak wszędzie,

i specjalnie obozowe, jak czyraczność, gwałtowne biegunki, oraz opuchlizna nóg, w wyniku niedostatku białka. Całe mnóstwo więźniów wymagało opatrunków z powodu obrażeń wywołanych nieszczęśliwymi wypadkami przy pracy, lub, o wiele częściej, powstałych wskutek bestialskiego pobicia. Każdy z nas po kilku miesiącach pracy, a niekiedy, już po kilku tygodniach popadał w muzułmaństwo, stan zupełnego wycieńczenia fizycznego. Co najmniej więc połowa więźniów powinna się leczyć. A przecież kilkakrotnie w ciągu roku szalały po obozie epidemie. Czasem były to choroby, które - leczone - minęłyby bez śladu, nie leczone - kończyły się śmiertelnie, dziesiątkując obóz. Pasiaki nie chroniły przed zimnem i deszczem, toteż ilekroć nadchodziły mrozy czy śloty, mnóstwo więźniów, którzy musieli, mając gorączkę, moknąć przy pracy i na apelach, zapadało na zapalenie płuc. Ponieważ w pierwszych dniach zapalenia temperatura ciała opadała najpierw o kilka stopni, a maksimum osiągała dopiero po południu, chory musiał jeszcze przez kilka dni pracować i do rewiru mógł się dostać dopiero wtedy, gdy wysoka temperatura utrzymywała się przez cały dzień. Poza tym nękał obóz tyfus, czerwonka i wiele innych chorób. Stale szerzyła się jaglica, świerzb, gruźlica, setki ludzi chorowało na nerki, na wątrobę, tysiące cierpiało na pęcherze. A tu żeby dostać się na rewir, trzeba było mieć co najmniej 39 stopni gorączki i trzeba było mieć szczęście, żeby trafić akurat na czas, to jest wtedy, gdy na rewirze przebywa mniej niż jedna dziesiąta ogólnej liczby więźniów w obozie.

A oto jak wyglądało przyjmowanie na rewir. Chorzy z całego obozu wlekli się o własnej sile lub przy pomocy kolegów na plac przed barakiem rewiru. Gdy już zebrało się ich kilkudziesięciu /w niektóre dni i znacznie więcej/, wypadał nagle z baraku rewir-
-kapo lub któryś z jego pomocników i bił czekających gumową pałką, gdzie popadło. Powstawał zamęt, krzyk i kto miał choć trochę siły, cofał się, uchylał i uciekał. Pozostawali ci, którzy albo nie byli zdolni zbiec, albo walili się na ziemię, gotowi na wszystko, razy i kopniaki, byle tylko dostać się na rewir. Tę garść dopuszczono do tzw. badania. Ale to było dopiero pierwsze sito. Drugim było mierzenie temperatury, przy którym znów wielu odrzucano. Przed oblicze lekarzy dociskali się tylko nieliczni i często tylko po to, aby się dowiedzieć, że nie mogą być przyjęci, bo rewir jest przepełniony.

Zmieniło się trochę dopiero w drugiej połowie 1943 roku. Odtąd dostać się na rewir było łatwiej, ale sam sposób przyjmowania pozostał ten sam i po staremu zaczynał się od "sprawdzania" przez rewir-
-kapo stanu zdrowia zgłaszających się za pomocą bicia gumową pałką i uderzeń w twarz.

Żeby dostać się do lekarza, trzeba było łaski kapa rewiru. Stąd pochodziło jego znaczenie, a również jego "dobrobyt". Prominent, kucharz czy magazynier mogli bez trudu dostać się na rewir, choćby wcale nie mieli gorączki. I przed paczkowiczami otwierały się możliwości. Dla więźniów uprzywilejowanych zarezerwowane były w pierwszym baraku rewiru dwie izby, wcale znośne, czyste, jasne, ciepłe i wygodne. Tam kwaterowano prominentów albo ich protegowanych, czasem rzeczywiście chorych, częściej pragnących tylko wypoczynku. Reszta rewiru przedstawiała obraz nędzy i rozpacz. Chorych umieszczano po dwóch na jednym łóżku. Często nawet po trzech. Tego trzeciego kładziono głowę pomiędzy

nogami dwóch pozostałych. Wszystkich nakrywano jednym kocem. Koce były sztywne od zakrzepłej na nich ropy i wydzielin poprzednich chorych, zaważone i cuchnące. Baraki roiły się od pcheł, pluskiew i much. Wszystko to gryzło chorych we dnie i w nocy, późnym latem i wczesną jesienią i było przekleństwem chorych oraz źródłem wszelkich zakażeń. Prócz pcheł, pluskiew i much były wszy, które roznosiły różne choroby. Wszy bali się esesmani panicznie, toteż każdego dnia po pracy wieczorem na blokach prowadzono odwszanie, tzw. Entlausung. Do poszukiwania wszy ustanawiał blokowy człowiek najbardziej zaufanego, który umiał nie tylko szukać, ale również i bić, a nawet uśmiercać więźnia, u którego znaleziono więcej wszy. Takie "odwszanie", w lecie prowadzone na dworze, nie było jeszcze straszne, choć zawsze towarzyszyła mu mniejsza lub większa masakra. Gorzej było jesienią i w zimie, bo ilu ludzi było na bloku, tylu musiało zdjąć koszule i czekać całymi godzinami na przejrzenie ich przez zaufanego starszego izby czy samego blokowego. Tak prowadzono odwszanie każdego dnia - w latach 1942 do 1944. Mieczysław Mołdawa opowiadał mi, że na jego bloku kapo Rudi, który z polecenia blokowego prowadził odwszanie, uśmiercił kilkunastu ludzi za to tylko, że znaleziono w ich bieliźnie te pasożyty. Podobne "entlausungi" prowadzone były również na rewirach, gdzie uśmiercano każdego dnia dziesiątki ludzi chorych i niezdolnych do samoobrony przed wszami.

O zakażeniu było zresztą nietrudno i bez udziału wszy. Nie jeden z chorych cierpiał na kilka chorób na raz, na zapalenie płuc, na świerzb, jaglicę. Wszyscy chorzy z jednego łóżka jedli tą samą łyżką, z tej samej miski, myli się w tej samej wodzie, wycierali tym samym ręcznikiem. Leżeli ciasno przyciśnięci do siebie.

Segregacja chorych polegała na tym, że zależnie od głównej choroby lokowano więźnia albo w baraku chirurgicznym albo w innych, ogromnych barakach, których pod koniec było pięć. W późniejszych latach - jak podaje dr Konopka - leżało tu od 900 do 1100 chorych. W baraku przewidzianym na 200 chorych umierało miesięcznie 300 chorych, w całym więc rewirze liczba zgonów przekraczała miesięcznie 1500. Są to liczby obejmujące okres od 20 kwietnia do 30 maja 1944 roku, to znaczy okres, gdy więźniowie mieli już dobrą opiekę lekarską /ze strony polskich lekarzy-więźniów/, a pogoda była łagodna, wiosenna, mniej sprzyjająca umieraniu. W pierwszych latach, gdy o chorych nikt nie dbał, śmiertelność była o wiele wyższa. Codziennie widziałem umierających i wozy wyładowane zwłokami, które kierowano do krematorium. W roku 1943 i 1944 chorych masowo zabijano na rewirze fenolem.

W obozach koncentracyjnych niemiecki lekarz nie bronił chorych od śmierci, był katem, który niesie śmierć ludziom zdrowym. Nie chcę mówić o znanych światu "doświadczeniach" przeprowadzanych przez pseudonaukowców po obozach koncentracyjnych na zdrowych więźniach i więźniarkach, a kończących się z reguły śmiercią lub potwornym kalectwem, bo choć w Gross-Rosen o takich próbach mówiono, nie umiałbym dziś podać nazwisk ani ofiar, ani "eksperymentatorów". W tym obozie lekarz obozowy więcej czasu spędzał przy egzekucjach niż na salach rewiru. Było to zupełnie wyjątkowe, jeśli się go ujrzało na sali raz na kilka dni. Ale i wtedy nie interesował się tym kto na co choruje, lecz tym,

czy w szpitalu nie przebywa przypadkiem ktoś, kto powinien już wrócić do pracy. Cała "wizyta" trwała tyle, ile trzeba, aby przejść przez salę krokiem marszowym. Podoficerowie służby sanitarnej SS zajmowali się natomiast wyłącznie okradaniem chorych, z leczeniem mieli tyle wspólnego, co szewc z astronomią. Z reguły używani byli do wykonywania wyroków śmierci. Przeważnie rolę oprawcy spełniał najwyższy z nich rangą - hauptscharführer Dehnel. Gross Rosen "specjalizowało się" w egzekucjach przy użyciu zastrzyków fenolu. Dokonywano ich na rewirach przed krematorium. Wiedzieliśmy, że ilekroć Dehnel szedł w stronę krematorium ze strzykawką w ręce, to idzie tam po to, żeby zabijać.

Jak wszędzie w obozie, tak i na rewirze promineni żyli znacznie lepiej od zwykłych więźniów, głównie dzięki okradaniu więźniów i braniu łapówek. "Wpływy" musiały być odpowiednio duże, bo trzeba było z nich opłacać się zwierzchnikom, przede wszystkim Dehnelowi i jego esesmanom. Nie było to trudne, odkąd nadchodziły paczki. Więzień zjadał tylko drobną część ich zawartości. Większa część, w tym lepsze kaski, wędrowały do prominentów i wyżej. Biada temu, kto "nie podzielił się" paczką. Taki nie doczekał dnia następnego. Dawniej było jeszcze gorzej. Poza kombinacjami z przetrzymywaniem zwłok w łóżkach w celu podjęcia porcji za zmarłych, promineni przyspieszali śmierć chorych, zależnie od tego, ile porcji chcieli podjąć na jutro dla siebie, gdy ilość porcji po zmarłych śmiercią naturalną im nie wystarczała. Ktoś powie: przecież dzienna porcja nie była wiele warta; to trochę chleba, to trochę zupy, czasem łyżka marmolady, czy odrobina margaryny - czy o to warto było zabijać? Nie warto, po tysiącokroć, nie warto. O nic nie warto. Ale w obozie mordowano nawet dla kromki chleba. Zwykłych więźniów skłaniał do tego głód, który zmieniał nieraz ludzi w dzikie zwierzęta. Promineni nie zabijali z głodu. Przez ich ręce przechodziły kotły, a więc bez mordowania mogli z nich czerpać tyle, ile tylko zapragnęli. Ale promineni chcieli mieć poza pełnym żołądkiem wykwinną bieliznę, ładne, na miarę szyte ubrania, pięknych "kochanków" i flaszczynę wódki, dobre papierosy i różne takie luksusy. Żeby mieć to wszystko, trzeba było na to sporo środków. Pojedynczy mord przynosił zyski groszowe, trzeba było mordować wielu chorych, żeby starczyło na wszystko.

Kiedy pierwszy raz dostałem się na rewir, dostałem się tam wraz z Dostowskim i Marianem Kotrą. Dostowski, który stracił w pracy okulary i któremu nikt nie mógł pomóc, aby otrzymał nowe, ten brak odczuwał najdotkliwiej. Był jak ślepiec. Przy wszystkich okropnościach obozu i chorobach jakie musiał znosić, życie jego stało się przejmująco tragiczne.

Wszystkim wtedy dokuszała biegunka, ale szczególnie Dostowskiemu. Siedział więcej na beczce w ustępie niż na pryczy. Lataliśmy przez trzy dni, w dzień i w nocy, nieraz co dziesięć minut, spotykaliśmy się tam ciągle. Póki mieliśmy siły, biegaliśmy. Kto nie potrafił już zejść z pryczy, sam wydawał na siebie wyrok. Taki był już zwyczaj na rewirze w Gross Rosen, że jeśli chory nie mógł iść do ustępu, ściągano go za nogi na podłogę i zawlekano do tak zwanej "dojrzewalni" lub zabierano go na platformę i wywożono wprost do krematorium.

Dostowski jak gdyby przeczuwał katastrofę. Ostatni raz

spotkaliśmy się około godziny trzeciej nad ranem. Byłem tej nocy jeszcze kilka razy w ustępie. Dostowskiego już nie spotkałem. Rano poszedłem do niego. Zostałem już tylko zwłoki.

Biegunka zagarniała coraz to nowe ofiary. Każdego dnia z jednej tylko sali wynoszono po 30-40 zmarłych na ogólną liczbę 200-220 chorych. Miejsca opróżnione zajmowali nowi. Władze obozowe nic nie robiły, aby chorobie zapobiec. Posiłki były te same, co w obozie. Rano dostawaliśmy półlitrowy kubek zupy "knor" z mielonych kości, na obiad litr zupy z brukwi lub z parzonych liści szpinaku, a na kolację 20 dkg chleba z łyżeczką twarogu lub stęchłej marmolady.

Kotra, który leżał w tym czasie obok mnie, zdawał się znosić to pożywienie stosunkowo jeszcze najlepiej. Gdy w nocy umierający krzyczeli i w halucynacji wołali swoich najbliższych, Kotra najspokojniej tłumaczył, że należy jeść powoli, że dobrze jest przedtem przegryść kawałkiem węgla drzewnego. Jednym słowem Kotra robił na mnie wrażenie człowieka najzdrowszego spośród wszystkich na rewirze.

Pewnego dnia Kotra dostał od kogoś ołówki i coś sobie rysował. Ze zdziwieniem zobaczyłem, że są to projekty mebli. Kotra powiedział, że kupi sobie takie, gdy będzie na wolności, że się ożeni, że będzie miał dwoje dzieci, którym już z góry nadał imiona. Był zdumiewająco pewny przeżycia obozu i szybkiego powrotu do rodziny. To działało krzepiąco. Toteż było tym bardziej przynębiające, że wkrótce potem zmarł. Umierał tak cicho, że nikt nawet tego nie zauważył. Szczególna rzecz, że na rewirze chorzy na biegunkę mieli zwykle tak spokojną śmierć.

Jeszcze dziś widzę przed sobą stosy trupów, rzesze umierających nędzarzy, oczy mgłą zasłane, jeszcze niby żywe, a już nie widzące, ciała zimnym potem oblane, wstrząsane ostatnimi drgawkami agonii. Ciężko chorych, u których gorączka dochodziła do 40°C, jakże często wyrzucano na beton, zupełnie nago i lano na nich zimną wodę węzłem gumowym, aby zmyć odchody i krew. O takich nieszczęśliwcach na betonie, którzy zwykle umierali po kilku godzinach, mówiono: Grupa häftlingów znajduje się w "dojrzewalni". Tę właśnie betoniarnię nazywano "dojrzewalnią", bo tu chorzy "dojrzewali" do śmierci. Stąd zabierano każdego dnia około godziny ósmej umrzyków, którzy nie przetrzymali nocy. Były wypadki, że niektórzy z nich jeszcze żyli, ale nikt na to nie zważał. Pflegerzy brali ich za nogi i głowę i rzucaли na platformę, która wiozła ich do krematorium. Był krzyk, od którego włosy stawały na głowie, jęk, było błaganie o litość. Dziś jeszcze słyszę przez sen charczenie, świsty dobywające się z krtani, wycie i straszny kaszel ludzi duszonych przez krwotok. I czuję okropny, przerażający smród krematorium. Najgorszy był w baraku trzecim, gdzie setki chorych na biegunkę, odleżałych, bezsilnych, bezbronnych umierało na twardych deskach, pławiąc się w odchodach własnych i swych sąsiadów.

A jednak i tam ludzie czasem zdrowieli. Jakimże cudem? Był to owoc ofiarnej, samarytańskiej pracy więźniów-lekarzy, Polaków i Rosjan. Oto jedno ze źródeł cudu. Ale były też inne. Na rewirze nikt nie czuł się gorzej niż na bloku, a były okresy, że czuł się nawet lepiej. Był mniej wyczerpany, bo na rewirze nie było pracy, apelów, zbiorów. Tylko tutaj można było leżeć i wypaść się, choć w smrodzie i wśród umierających. Organizmo-

wi łatwiej tu przychodziło zwalczać chorobę, bo walczył tylko o nią samą, inaczej niż w kompanii karnej, wśród ciężkiej, całodziennej pracy. Poza tym na rewir docierały paczki. Nie całe, okradzione, ale jednak coś z nich zostawało i dla chorego. To było niezmiernie ważne. Dla wszystkich. A cóż dopiero dla tych chorych, którzy przez zupełne wygłodzenie stoczyli się w najostatniejsze muzułmaństwo, obciążani jeszcze przeziębieniami i infekcjami. Pod opieką pełnych poświęcenia lekarzy, odpoczywając i lepiej się odżywiając, wracali do zdrowia nawet w tych potwornych warunkach, jakie panowały na rewirze.

Nr archiwum 4.6.79



Pierwszy dzień wyzwolenia obozu - dla tych wyzwolenie nastąpiło wcześniej.

Zdjęcie wykonane przez wojska amerykańskie po wkroczeniu do obozu.

Nr archiwum 1.5.1.19.

Z POBYTU W REWIRACH

Stan mego zdrowia z dnia na dzień się pogarszał. Najbardziej dokuczała prawa ręka. Od małego narywu, powstałego w czasie wycinania dziury w wagonie, wytworzył się na dłoni duży wrzód. Ręka do łokcia mnie tak spuchła, że nie mogłem jej wkładać do rękawa marynarki. Cała dłoń przybrała kolor liliowy. Wrzód na dłoni nie miał rdzenia i nie mógł się przerwać. Jak mówiono to okazało się, że ja zachorowałem na dość popularną w obozie chorobę, nazywaną popularnie flegmoną. Zachorowanie na tę chorobę wiązało się z brakiem witamin i złym odżywieniem. Na ogół, jak powiadano, flegmona dziesiątkowała więźniów w obozie.

Odczuwając stale silny ból, byłem wykończony fizycznie. Noce miałem niedospane, a w dzień wykończałem się pracą lub ćwiczeniami. Stawałem się muzulmanem, a był to ostani etap przed śmiercią. Nie widząc perspektywy ratunku czułem się załamany psychicznie.

Na terenie obozu było pięć szpitali, noszących tu nazwę rewirów. Do tych szpitali zabierano zwykle tych co już dogorywali i mało było takich, którzy by z nich wyszli. Przywożono tam również chorych z komand roboczych obozu Gross-Rosen, rozsiąanych po różnych miejscowościach Dolnego Śląska.

Kiedy mnie już bardzo ból dokuczał i słańiałem się na nogach z wycieńczenia, nie widząc innego ratunku, udałem się na rewir. Baraki szpitalne otoczone były płotem z drutu kolczastego i do każdego z nich trzeba było przejść przez strzeżoną furtkę. Udałem się do drugiego rewiru, gdyż w tym dniu tam był dyżur. Przed bramką stała długa kolejka chorych. Kiedy nadeszła moja kolejka, stojący w bramce lekarz i sanitariusz z miejsca wzięli mnie na operację. Odbывała się ona przed barakiem szpitalnym, na żywca. Kilku heftlingów-sanitariuszy mnie trzymało, a lekarz, widać chirurg, lancetem ciął mi rękę. Wiłem się z bólu i traciłem świadomość a czterech silnych sanitariuszy mnie trzymało. Operacja się przedłużała, ale ja wyczerpany już nic nie czułem. Kiedy oprzytomniałem, znajdowałem się już na pryczy. Leżałem kompletnie nagi, przykryty kocem. Rękę miałem obwiązaną papierem toaletowym, zastępującym w warunkach obozowych gazę. Pryczę otrzymałem na piętrze i możliwie dobre miejsce w baraku. Na sąsiedniej pryczy leżał młody chłopiec rodem z Sosnowca. Miał okaleczoną nogę dość silnie. Pracował on w kamieniołomach i na skutek nieuwagi skaleczył sobie nogę. Nie mając nic lepszego do roboty zaprzyjaźniłem się ze swoim sąsiadem. W obozie przebywał on już kilka lat mimo swego młodego wieku. Opowiadał on mnie o stosunkach panujących w obozie i o swoich znajomościach wśród elitarnych heftlingów - Niemców. Mnie takie znajomości w najmniejszym stopniu nie imponowały a odwrotnie, osiągałem wrażenie, że ten młody chłopak uległ zdeprawowaniu obozowemu. Wobec mnie mój sąsiad był bardzo uczynnym, bo pomagał przy jedzeniu.

Na dolnej pryczy pode mną leżał mniej ciekawy sąsiad. Był to w starszym już wieku więzień ciężko chory jak przypuszczam, na puchlinę wodną. Miał on brzuch bardzo wzdęty i tam to znajdowała się woda.

Na tej sali gdzie leżałem dokonywano także opatrunków. Z braku medykamentów, a nawet podstawowych środków opatrunkowych, przewiązek dokonywano co drugi dzień. Z tego też tytułu rany się u chorych marnie goiły i na sali śmierdziało rozkładającą się ropą. Mną się opiekował, młody, inteligentny i bardzo dla mnie dobry sanitariusz. Pochodził on rodem z Warszawy i nazywał się Stasiak. Jak mówiono to przed wybuchem wojny Stasiak podobno studiował medycynę czy prawo, na Uniwersytecie Warszawskim. Pozornie udawał on srogiego. Kiedy pierwszy raz mnie wziął na przewiązkę ręki, popatrzył na mnie ponuro i spytał:

- Skąd jesteś?

- Z Białegostoku - odpowiedziałem.

- Za co ciebie wzięli? - pytał dalej.

- Na te pytania nie odpowiedziałem od razu. Po pewnym wahaniu, patrząc się w oczy sanitariuszowi po cichu, tak aby oprócz niego nikt na sali nie słyszał, powiedziałem - no wiadomo.

Stasiak popatrzył się na mnie, a po tym powiedział - no ty bandyto z Białegostoku. Od tej pory mnie inaczej nie nazywał. Tak mnie wywołując na opatrunki, stwarzał pozory srogości, a w rzeczywistości o czym właściwie tylko ja wiedziałem, okazywał wiele serca. Przejawiało się to przede wszystkim w tym, że o ile ze względów oszczędnościowych, normalnie każdego z chorych brano na opatrunki co drugi dzień, to mnie Stasiak przewiązywał rękę codziennie. Sanitariusz ten wywoływał mnie zawsze w takim okresie kiedy nie było na sali Reviercapo. Ten Niemiec należał w obozie do niepomniejszych zbrodniarzy. W jego obecności nikt nie miał odwagi zleźć z pryczy aby udac się do ubikacji. Kiedykolwiek kogo on spotkał chodzącego między pryczami od razu wykończył biciem. Co kilka dni dokonywał on na rewirze selekcji chorych. Tych co już trochę lepiej się czuli wysyłał na bloki. Co prawda mało było takich gdyż większość po kilkudniowym pobycie na rewirze umierała. W takiej sytuacji rotacja chorych w szpitalu była znaczna.

Mój sąsiad z dołu mimo swojej ciężkiej choroby dawał się wszystkim wokoło we znaki, a szczególnie mnie. Miał on zwyczaj bez przerwy godzinami zawodzić jednostannym głosem - oj omru ja umru. Ten śpiew wprowadzał taką atmosferę, że można było oszaleć. Na moje prośby, sąsiad z dołu nie tylko nie przerywał swego śpiewu, a odwrotnie jeszcze wzmaczał. Znalazłem jednak sposób na to, że "śpiewak" przerywał swoje trele. Kiedy już nerwowo nie wytrzymywałem zawodzenia, kręciłem się energicznie na swoim sienniku. Powodowało to, że z niego leciały paprochy, które niewątpliwie trafiały i do oczu mego męczyciela. Reakcja moja na śpiew wywoływała natychmiastowy skutek. Sąsiad przerywał zawodzenie, a ja miałem trochę spokoju i wytchnienia.

Nie długo jednak trwała nasza "wojna". Chory na puchlinę mimo przeprowadzanych na nim badań przez lekarzy SS i leczenia, po kilku dniach pobytu na rewirze, umarł.

Obserwując codzienne odwiedziyny lekarzy Niemców u tego chorego na puchlinę wodną, dochodziłem do wniosku, że stanowi on obiekt doświadczeń. Potwierdzeniem tej tezy było to, że jemu

jak nikomu więcej na naszej sali esesmańscy lekarze przynosili dodatkowe jedzenie.

Na sali gdzie leżałem było kilku pseudo chorych, którzy się po prostu na rewirze melinowali. Otrzymywali oni z domu paczki żywnościowe, których znaczną część zabierana była przez Reviercapo.

W zasadzie każdy z heftlingów miał prawo do napisania do domu jednego listu miesięcznie. Według ustalonego schematu można było napisać kilka zdań ogólnych w treści i nie wiele mówiących. Po otrzymaniu takiego listu, rodziny miały możliwość wysyłania do obozu paczek żywnościowych. Pozwolenia na wysyłanie listów otrzymywali więźniowie, których rodziny zamieszkiwały tereny zajmowane przez Niemców. Moja sytuacja wobec przesunięcia się frontu i zajęcia Białegostoku przez wojska radzieckie była przesądzona i nie miałem możliwości kontaktów z rodziną. Ci wszyscy, którzy od czasu do czasu otrzymywali trochę żywności dodatkowej byli w znacznie lepszym położeniu niż ci co takiej pomocy nie otrzymywali. W zasadzie każda z nadsyłanych paczek była w znacznej mierze okradana przez SS-manów i dygnitarzy obozowych, ale jednak część żywności trafiała do odbiorców.

W takim, korzystniejszym położeniu był i sanitariusz Stasiak. Pochodząc z Warszawy otrzymywał on systematycznie wartościowe paczki żywnościowe. Nie wiem czym on się kierując, chyba wielkim poczuciem człowieczeństwa, systematycznie mnie dokarmiał. Nie było dnia, aby przechodząc koło mojej pryczy Stasiak nie wsunął pod koc kawałek nasiąkniętego tłuszczem suchara czy cukru. Czynił to on tak dyskretnie, że oprócz mnie nikt tego więcej nie widział. Często też przy rozdzielaniu zupy nie zapomniał o mnie sanitariusz i dawał dolewkę. Dzięki troskliwości Stasiaka, ręka moja szybko się goiła. Poprawiałem się też na całym ciele mając dodatkowe racje żywnościowe i nie potrzebując zużywać energii przy pracy. Mój opiekun, sobie wiadomymi sposobami starał się mnie jak najdłużej przetrzymać na rewirze. Po miesięcznym melinowaniu się w szpitalu trudno mnie już było tam trzymać. Na pożegnanie Stasiak wystarał się mnie jeszcze dość dobre ubranie, buciki skórzane, skarpetki, tak że wyglądałem jak "stary" heftling. Mój numer obozowy do pewnego stopnia mógł świadczyć, dla nie wtajemniczonego, że przebywam długo w Gross-Rosen. Według tradycyjnych zwyczajów więziennych, obowiązujących również w obozie, każdy stary heftling cieszył się pewnymi względami u funkcyjnych. W zasadzie to byłem młodym obozowiczem, a swój numer dostałem przypadkowo na miejsce nieżyjącego już więźnia. Numery jakie otrzymywali świeżo przybyli do obozu sięgały liczb kilkudziesięciotysięcznych.

Zegnając się ze Stasiakiem, mocno uścisnąłem mu rękę, dziękując mu za wszystko to co dla mnie uczynił. On patrząc na mnie możliwie wyglądającego powiedział: trzymaj się chłopie, palec masz jeszcze sztywny, ale z biegiem czasu będziesz nim mógł jeszcze ciągać za cyngiel karabinu. A

Po opuszczeniu rewiru powróciłem do bloku ósmego. Przez okres mojej nieobecności wiele się tam zmieniło. Z mego transportu na moim bloku zastałem jedynie Kurowickiego. Pozostali więźniowie zostali wywiezieni na różne komanda robocze, albo zostali wymordowani. Takich była większość. Kilka osób z mego transportu przeniesiono na inne bloki. Od swoich znajomych dowie-

działem się, że ksiądz Sarosiek, Albin Brzostowski i Grzybowski już nie żyją. Wiadomość ta zrobiła na mnie przygnębiające wrażenie. Jak opowiadano, to wynikało, że ksiądz umarł z wycieńczenia. Do ostatka zachowywał pogodę ducha i pomimo swego złego stanu zdrowia, starał się innym dodawać otuchy. Wykonywał też on w miarę możliwości swoje kapłańskie obowiązki spowiadając więźniów.

Tragiczniejszy był los Brzostowskiego. Zginął on z rąk oprawców, kiedy się ujął za katowanym więźniem.

Niektórzy z białostockiego transportu mieli więcej szczęścia. Takim był Stach Nowakowski, który umiając grać na skrzypcach dostał się do orkiestry symfonicznej. Z tego też tytułu dostał dość lekką pracę w Effektenkammer przy sortowaniu odzieży. Przeniesiony został również do trzeciego bloku gdzie przeważnie przebywali starzy więźniowie i gdzie łżejsze były warunki egzystencji. Członkowie orkiestr dostawali więcej jedzenia i w czasie częstych prób nie musieli pracować. Nowakowski należał także do orkiestry dętej. Grał w niej na bębnie. Wszyscy muzycanci dętej orkiestry nosili mundury. Były one wyjątkowo kolorowe i cała orkiestra wyglądała operetkowo. Całe to umundurowanie zostało uszyte w obozie.

W bloku dziewiątym, sąsiadującym z moim, przebywał mój znajomy z Białegostoku, Włodzimierz Pugawko. Przed wojną miał on ukończone studia ekonomiczne i do przyjemności moich należało z nim porozmawiać na różne tematy, a szczególnie o perspektywach naszych możliwości przetrwania i doczekania zakończenia się wojny.

W piątym bloku przebywał mój kolega z Białegostoku, Antoni Bąbel. Był on moim rówieśnikiem i mimo że uczył się w innym gimnazjum niż ja, znaliśmy się dobrze. W warunkach obozowych zaprzyjaźniliśmy się jeszcze bardziej.

Bąbel przed wywiezieniem go do obozu, miał ciężkie przeżycia w więzieniu białostockim. Przez kilka dni karmiono go po jednym, słonym śledziu dziennie, a nie dawano wody. Męczono go tak, aby wydobyć zeznania. Te straszne przeżycia bardzo odbiły się na zdrowiu Antka. W warunkach obozowych szybko on by się wykończył, gdyby nie otrzymywanie pomocy żywnościowej od rodziny, zamieszkałej na Śląsku.

Po powrocie do bloku ósmego, cugangowego, należałem znowu do kasty heftlingów, najgorzej traktowanych w obozie. W braku stałego przydziału pracy, pędzono nas do różnych zajęć wyczerpujących psychicznie i fizycznie. Najgorzej to jak trafiało się nam kopać rowy. Miały to być niby schrony przeciwlotnicze, a głębokie były około dwóch metrów. Do kopania capo pędzili nas biegiem przy nieustającym krzyku i biciu. Na skraju obozu na tempo, bez żadnych przerw czy odpoczynku kopaliśmy rów, który poprzedniego dnia zasypaliśmy. Praca trwała przy kopaniu do obiadu, a po przerwie obiadowej zasypywaliśmy ten sam rów również w niesłabnącym tempie. Kiedy ktoś wyczerpany fizycznie ustawał w pracy, padał wtedy pod razami łopaty capo.

Kiedy kilka dni z rzędu męczono nas przy kopaniu rowów zdarzały się przypadki, że niektórzy całkowicie załamywali się psychicznie i rzucali się na druty kolczaste ogradzające obóz. Zetknięcie się z prądem wysokiego napięcia powodowało natychmiastową śmierć.

Zdarzyło się tak, że od tygodnia pędzono nas do kopania rowów. Czułem się coraz bardziej wyczerpany fizycznie i ponownie stawałem się muzulmanem. Zacząłem intensywnie myśleć jakby tu polepszyć swoją dolę. Przypatrując się życiu obozowemu zauważyłem, że po apelu porannym, część heftlingów o widocznym kalectwie lub bardzo starych, nie udawała się do pracy. Na wezwanie capo wychodzili oni z szeregow stehkomando i udawali się na plac między blokami i po całych dniach przesiadywali na murawie. Postanowiłem zaryzykować i samemu dołączyć do tego towarzystwa weteranów. W przeddzień od mego kroku, po wieczornym apelu zamieniłem się z heftlingiem z innego bloku i wzamian za swoją czapkę okrągłą tak zwaną lagrówkę otrzymałem kapelusz spadający mnie na oczy.

Na drugi dzień po porannym apelu kiedy wychodzili z szeregu kalecy, ja nasunawszy głęboko kapelusz na oczy, zgarbiwszy się jak tylko dałem radę i dołączyłem niepostrzeżenie do nich. Prawą rękę schowałem pod marynarkę, a pusty rękaw włożyłem do kieszeni. Według mego mniemania musiałem sprawiać wrażenie kaleki w starszym już wieku. W każdym bądź razie sztuczka się udała i cały dzień przesiadzałem wśród grona rzeczywistych kalek. Ryzykując mistyfikację nie miałem lepszego wyboru. Wiedziałem, że jak dalej będę pędzany do kopania schronów to się bardzo szybko wykończę. W razie zorientowania się capo, że ja oszukuję liczyłem się z najgorszym, ale cóż było robić.

Grono kalek i staruszków przyjęło mnie do swego towarzystwa bardzo życzliwie. Widzieli oni mój stan graniczący z wyglądem muzulmana i przez melinowanie wśród siebie starali się mnie w ten sposób dopomóc. Towarzystwo weteranów składało się na ogół z ludzi wykształconych i inteligentnych. Przeważnie byli to Polacy, inwalidzi z ostatniej wojny. Wśród nas znajdował się profesor wyższej uczelni i pułkownik. Po całych dniach dyskutowaliśmy na tematy wojenne. Moi towarzysze posiadali, z niedociętych przeze mnie źródeł, najwięcej informacji o sytuacjach na frontach. Z ich relacji wynikało, że wojska radzieckie doszły już do brzegów Wisły. Te wiadomości krzepiły nas na duchu i dawały nadzieję przetrwania.

x

x

x

Wrzody, które bez przerwy mnie dokuczały były uciążliwe, ale nie czyniły niezdolnym do pracy. Przy takiej dolegliwości na którą w większości chorowano nie zabierano na rewir. Zdarzyło się jednak, że powstał u mnie guz w bardzo czułym miejscu. Wrzód nie mógł pęknąć i powodował ból nie do opisania. Cierpiąłem bardzo i chodziłem skurczony we dwoje. Nie mogąc już dłużej wytrzymać bólu udałem się do rewiru.

Przy segregacji chorych przydzielono mnie do piątego rewiru. Tutaj od razu skierowano mnie na operację. Czekając na swoją kolejkę byłem świadkiem jak "na żywca" operowano bardzo młodego Serba. Chorował on na flegmonę i nogi miał całe zgangrenowane. Patrząc ja na cierpienia tego biedaka czułem, że robi mi się słabo.

Przyszła i na mnie kolej. Kazano mnie położyć się na stole i założono na twarz gazę nasyoną chloroformem. Liczyłem do dziewięciu i straciłem świadomość. Nie wiem jak długo mnie operowano gdyż po narkozie obudziłem się na pryczy. Leżałem na górnej pryczy, nago przykryty kocem. Nie odczuwałem zupełnie dawnego bólu. Moja dolegliwość przeszła jak sen. Na sali gdzie leżałem przebywało kilkunastu chorych. Panował tu smród nie do opisanía. Leżałem dość blisko okna i starałem się oddychać świeżym powietrzem. Ilekroć się odwróciłem w stronę sali czułem, że zbiera mi się na torsje. Smród gnijących ciał i ropy był nie do wytrzymania. Większość przebywających na sali chorych byli to Francuzi. Trudno było z nimi nawiązać rozmowę bo znali oni tylko swój ojczysty język, dla mnie niezrozumiały. Byli oni też godzinami zajęci tak rozmową, bardzo żywo prowadzoną, między sobą, że trudno ich nawet było o coś zagadnąć po niemiecku, albo porozumieć się gestykulacją. Nie mając nic lepszego do roboty usiłowałem domyśleć się o czym to tak można bez przerwy godzinami i z taką werwą rozprawiać. Wsłuchiwałem się w mowę Francuzów i chciałem wyłowić słowa, które jak prawie we wszystkich językach europejskich posiadają wspólny rdzeń oparty na łacinie. Wśród różnych, szybko wypowiedianych zdań zauważyłem, że wyraz margarine stale jest powtarzany. To nasunęło mi przypuszczenie, że konwersacja toczy się o jedzeniu. Nie będąc pewnym tego, bo trudno byłoby przypuszczać, żeby ten temat tak mógł absorbować ludzi, zapytałem się leżącego niedaleko mnie polskiego Żyda, a mówiącego po francusku, o czym to nasi sąsiedzi tak żywo rozprawiają. On potwierdził moje przypuszczenie i dodał, że leży tu na tej sali już kilka tygodni razem z Francuzami i ta ciągła dyskusja na tematy kulinarne trwa nieustannie. Dziwiła nas mentalność Francuzów.

Rana mi szybko się goiła i pragnąłem jak najszybciej powrócić do swego bloku i do pracy w Blaupunkt. Na rewirze nie dawano frisztyku to jest drugiego śniadania, a trzeba było jeszcze oddawać margarynę na opał przynoszony przez więźniów pracujących w Bauleitung. Leżałem więc stale głodny w trudnym do opisanía smrodzie. W tej sytuacji chętnie powróciłem do swego bloku.

Nr archiwum 4.6.78